

GRYF

PISMO
POŚWIĘCONE
SPRAWOM
KASZUBSKO-POMORSKIM



NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „GRYF”
ROK 9 NR. 1

5-23153

1932

G**R****Y****F****R. 9****N. 1****ZAWIERA**

		str.
POMORZE A POWSTANIE LISTOPADOWE 1830/31 r.	<i>J. Karnowski</i>	1
POMORZE A POWSTANIE MIEROSŁAWSKIEGO 1846 r.	<i>J. Karnowski</i>	3
WYCINEK Z DZIEJÓW WYCHOWANIA NA POMORZU	<i>Alfons Warczak</i>	6
CIEKAWY I NIEZNANE ZABYTKI PRZESZŁOŚCI WYBRZEŻA POLSKIEGO W KOPENHADZE	<i>Alfred Świerkosz</i>	13
AUGUST SZLOGA (SZOŁOBUŁKA)	<i>St. Czernicki</i>	17
DOBROGOST I MIŁOSŁAWA (POEMAT CZ. III P. T. I SE STAŁO C. D.)	<i>L. Heyke</i>	32
Z KASZUB I O KASZUBACH (KRONIKA)		38
KSIĄŻKI I CZASOPISMA (RECENZJE)		42
UKŁAD ART. ORAZ ILUSTRACJE DO AGUSTA SZLOGI	<i>St. Brzęczkowskiego</i>	

D o d a t e k: nr. 11 i 12 Gryfa Kaszubskiego.

NA OKŁADCE MOTYW Z MAŁEGO MIASTA POMORSKIEGO
(DRZEWORYT H. POMORSKIEGO)

K O M I T E T R E D A K C Y J N Y

Dr. Aleksander Majkowski

Dr. Władysław Pniewski

Stanisław Brzęczkowski

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: DR. WŁADYSŁAW PNIEWSKI - GDAŃSK

W Y D A W C A

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA Z OGR. POR. „GRYF”

KARTUZY**— GDAŃSK**

WZGÓRZE WOLNOŚCI 5a

AM WEISSEN TURM 1

W A R U N K I P R Z E D P Ł A T Y G R Y F A

który się ukazuje w dniu 1. każdego kwartału kalendarzowego.

Przedpłata wynosi rocznie	9, —	zł.
półrocznie	4,80	„
Cena pojedynczego zeszytu wynosi	2,50	„
Dla członków Spółdzielni wynosi przedpłata roczna	6,—	„
Cena ogłoszeń wynosi: cała strona	120,—	„
pół strony	60,—	„
1/3 strony	40,—	„
1/4 strony	30,—	„

Wszelkie wpłaty uprasza się uskutecznić na nasze konto w P. K. O. Poznań Nr. 200431 lub przekazem na nasz adres wzgl. na nasze konto w Banku Kwilecki Potocki i S-ka w Gdańsku — Hundegasse. Niezamówione rękopisy odsyła się tylko za zwrotem kosztów przesyłki.



P.236



KOŚCIÓŁ ŚW. JAKÓBA
W TORUNIU

DRZEWORYT — PROF. KLUSKA

GRYF

ROK: 9 PAŹDZIERNIK—GRUDZIEŃ 1932 NR: 1

110380

Jan Karnowski

UDZIAŁ POMORZA W WALKACH POLSKI O NIEPODLEGŁOŚĆ CZĘŚĆ 3



9916

POMORZE A POWSTANIE
LISTOPADOWE 1830—31 R.

Powstanie listopadowe 1830/31 r. nie ogarnęło byłego zaboru pruskiego. Jednakowoż między walczącymi nie brakowało przedstawicieli Prus Królewskich. Wielka nie była wprawdzie liczba tych, co poszli na powstanie, bo dyktator Chłopicki — tak twierdzi ks. Mańkowski — nie chciał Prusaków drażnić i stanowczo pono się wzbraniał przyjąć ochotników z zaboru pruskiego. Ale w roku 1880 liczone jeszcze coś trzydziestu uczestników wojny narodowej, żyjących w Prusach Królewskich, coby prawda nie wszystkich rodowitych Pomorzan. Z tego wynika, że uczestników musiało być znacznie więcej. Mańkowski ocenia ich liczbę przypuszczalną na 100 — 200. Wśród nich byli Kucharscy z Niedźwiedzia, Borowscy z Kaszub, Kamiński z Mrocza, Franc. Ksawery Malinowski z Golubia, późniejszy profesor i językoznawca. Nawet z Gdańska przychodzili uczestnicy powstania. Wacław Sobieski (Walka o Pomorze) twierdzi, że ma w ręku list jakiegoś ojca po polsku pisany z Gdańska z dnia 6. VI. 31 r. do Gliszczyńskiego, ministra spraw wewnętrznych, ze zapytaniem o synów-powstańców. Wielkie powstanie listopadowe skończyło się wielką przegraną. Epilog tej tragedji rozegrał się na ziemiach pruskich, t. j. w „Prusach Królewskich i Wschodnich“. Do Prus Wschodnich przeszedł bowiem korpus gen. Giełguda i Chłapowskiego pod Kłajpedą w połowie lipca 1831 r., a do Prus Zachodnich armja generała Rybińskiego pod Szulcowem, niedaleko Brodnicy 5 X 31 r.

Wojska te zostały rozbrojone i przez Prusaków internowane, i to oddziały Giełguda i Chłapowskiego pod znacznie gorszymi warunkami, bo w obozach np. w Pakamonnach, natomiast ludzie armji Rybińskiego zostali umieszczeni w kwaterach cywilnych w okolicach Malborga, El-

bląga i Nytychu i przyjęci zyczliwie przez ludność cywilną.

Wielki rozgłos zyskała wówczas sprawa zbrodni fiszewskiej (27. I. 32.)¹⁾ i oskarżenie rzucone przez świat cywilizowany przeciwko Prusakom o złem i podstępem traktowaniu internowanych Polaków. Zbrodnia fiszewska, co do właściwej swej genezy i w swych szczegółach jeszcze zupełnie wyjaśnioną nie jest. Z Pomorzán kwestją tą się zajmowali prof. Chudziński w roczniku V T. N. w Toruniu, prof. Łęgowski i Nierzwicki w kilku artykułach, ogłoszonych w „Mestwinie“. Należy przyjąć za pewne, że władze pruskie lojalnie postanowień kapitulacji brodnickiej nie wykonywały i stawiały trudności prądowi emigracyjnemu, szerzącemu się między internowanymi dzięki propagandzie emisariuszy Tow. Demokratycznego w Paryżu. Władzom pruskim chodziło bowiem o poparcie intencji carskich, aby możliwie wszyscy zwyczajni żołnierze korzystali z przyrzeczonej amnestji carskiej i wrócili do kraju. W tym celu też prowadzili intensywną propagandę i zaczęli całe wojsko dzielić na 3 kategorie: nieskompromitowanych, skompromitowanych i bardzo skompromitowanych. Przy spisywaniu i dzieleniu rozkwaterowanych na powyższe 3 kategorie przyszło pod Fiszewem do krwawego starcia, gdyż oddział pruski, asystujący komisji, dał do oddziału Polaków, rzekomo demonstrujących, ognia i położył 8 trupem. W mniejszej części tylko korzystali żołnierze z amnestji i wrócili do kraju, większa część i cały korpus oficerski poszedł na emigrację do Francji, i to częściowo drogą wodną przez Gdańsk, a częściowo drogą lądową przez Pomorze i dalej przez Niemcy. Emigranci ciągnęli traktem (Tczew — Chojnice). Postój w Czersku dał Wincentemu Polowi temat do ujmującego wierszyka, ogłoszonego w pismach Janusza p. t. „Nocleg w Czersku“²⁾. Wiersz powyższy, jako też cała ówczesna prasa pomorska świadczą o wielkiej sympatji i gorących uczuciach patriotycznych dla powstania i jego uczestników. Zresztą cała Europa cywilizowana uważała wtenczas Polaków podobnie jak Greków za bohaterów.

Szczególne wrażenie czynią urywki z listów Mrongowjusza, uczonego pastora gdańskiego, wielkiego badacza języka polskiego i kaszubszczyzny, pisanych do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie (18. IV. 31 r.) i do W. A. Maciejewskiego (1. XI. 1832 r.). Listy te dotyczą spraw naukowych i wydawnictw, ale przynajmniej w kilku zdaniach daje M. folgę swym uczuciom i wrażeniom, jakie klęska powstania listopadowego na niego i na wszystkich sympatyków w Gdańsku wywarła. Tak pisze w pierwszym: „Opłakujemy tu zburzenie Puław, oburza się serce wielu uczonych Niemców na takie barbarzyństwo, a my modlimy się

¹⁾ Wzmianka o niej także w litanji pielgrzymkiej Mickiewicza.

²⁾ Do tego epilogu odnosi się także wiersz Pola „Stary ulan pod Brodnica“ i „Polacy w Prusiech“.

za Was: Wieczna pomocy! ty z ręki zajadłych wrywasz słabość etc.“ — a w drugim, pisanym po niemiecku: „Unaussprechl. Jammer hat der unselige Aufstand über uns alle gebracht, die Freunde des einst so grossen polnischen Volkes u. seiner Literatur u. Sprache waren. Doch eine höhere Hand leitet die Geschichte der Völker und Menschen. Bluttränen möchte man weinen, wenn damit etwas wieder gut gemacht werden könnte“. (Gryf 1912, nr. ---12).

CZEŚĆ: 4

POMORZE A POWSTANIE MIEROSŁAWSKIEGO 1846 R.

Powstanie Mierosławskiego r. 1846 miało także refleks zbrojny na Pomorzu. Cała akcja powstańcza była dziełem Polskiego Tow. Demokratycznego w Paryżu, które się tam w r. 1832 wśród emigrantów polskich zawiązało. Powstanie ogarnąć miało ludność polską wszystkich zaborów i miało na celu nietylko przywrócenie niepodległości państwowej, lecz także wysunęło na pierwszy plan reformy społecznej, a szczególnie reformę rolną.

Naczelna władza państwowa podzieliła całe terytorjum polskie na 5 prowincyj; jedną z nich tworzyły Prusy, t. j. Prusy Zachodnie i polska część Prus Wschodnich. Agentem powstańczym dla tej prowincji został Elżanowski, pochodzący z Królewca. Według instrukcji, odebranej od Kosińskiego, miał on podzielić prowincję na komisaryjaty, a po wybuchu powstania zająć twierdze Toruń i Grudziądz, pod Chełmnem zgromadzić następnie główne siły powstańcze z lewej strony Wisły i prowadzić je nad Drwęcę celem połączenia się z oddziałami z drugiej strony Wisły. Tutaj miał objąć dowództwo komendant prowincjonalny, pułkownik Biesiekierski, i przeprowadzić powstańców do Królestwa. Instrukcja kładzie szczególny nacisk, aby propagandę powstańczą oparto na hasłach religijnych, gdyż motywy wyłącznie patriotyczne w tej prowincji, a szczególnie na Kaszubach, nie są dosyć silne.

Niebawem udało się Elżanowskiemu utworzyć w Prusach z pomocą Sadowskiego, Trojanowskiego, Pozorskiego i innych 10 komisaryjatów, a mianowicie: toruński, świecki, starogardzki, grudziądzki, chojnicki, złotowski, brodnicki, malborski, jondzboński, lecki, warmiński. Komisaryjat starogardzki obejmował prócz powiatu także całe Kaszuby. Komisarzem tego okręgu został student Trojanowski z Królewca. Jego zadaniem było w naznaczonym czasie wznieść powstanie, znieść załogę huzarów w Starogardzie i poprowadzić siły powstańcze do Chełmna. Wielką pomocą dla Trojanowskiego był ks. Łobodzki, administrator Kłonówki pod Pelplinem i młody Puttkammer — Kleszczyński.

Akcję powstańczą popierała bardzo gorąco pani Januarja Kalksteinowa z domu Płaskowska z Klonówki. Dlatego brali ludzie z jej folwarków: Klonówki, Neumusa i Sumina dosyć liczny udział w organizacji powstańczej. Sprawa powstańcza miała także licznych zwolenników wśród gospodarzy Rywałdu, wsi, należącej do parafii ks. Łobodzkiego. Natomiast w mieście Starogardzie było o zwolenników trudno. I ci, co rzekomo do organizacji należeli, w krytycznym momencie nie dopisali. Gdy organizacja na dobre się rozwijała, został Trojanowski wskutek denuncjacji karczmarza Węsierskiego ze Starogardu aresztowany, a po chwilowym puszczeniu na wolność przychwycony ponownie. Wobec tego ofiarował Elżanowski komisarjat ks. Łobodzkiemu, a następnie młodemu Kleszczyńskiemu. Lecz obydwaj go nie przyjęli. Chwilowo został okręg bez komisarza. Krótco przed wybuchem powstania przysłała władza powstańcza Ceynowę, jako dowódcę zbrojnego ruchu w okręgu starogardzkim.

Ceynowa, rodem ze Sławoszyna, w powiecie puckim, studjował wtenczas w Królewcu medycynę i odbył tam także jednoroczną służbę wojskową przy pierwszej brygadzie jako chirurg. Dopiero w Królewcu dostał się Ceynowa do organizacji powstańczej przez kolegę Szyszłowicza, przejął się ideologią Towarzystwa Demokratycznego i czytywał pisma, jak Wysockiego: „Sztuka wojenna“ i Karola Stolzmana: „Partyzantka“. Od Szyszłowicza odebrał C. polecenie do objęcia dowództwa w Starogardzkim. Dwudziestego lutego jest już C. u ks. Łobodzkiego w Klonówce. Według rozkazu najwyższej władzy powstańczej miało powstanie wybuchnąć jednocześnie w nocy z 21 na 22 lutego. Z ks. Łobodzkim ułożył C. następujący plan działania:

- 1) Zająć Starogard w nocy z 21 — 22, zdobyć stajnie huzarskie i arsenał, aresztować oficerów i wyższych urzędników cywilnych, bawiących na balu karnawałowym — opornych stracić.

- 2) Po ukończonej sprawie zamianować komisarza okręgowego w miejsce Trojanowskiego i wyznaczyć adjunkta biskupowi Sedlagowi, któryby w miejsce biskupa samodzielnie diecezją zarządzał, wreszcie ustanowić trybunał rewolucyjny.

- 3) Część powstańców poprowadzić na Grudziądz, a resztą dalej rozniecać powstanie.

Następnego dnia zwołał Ceynowa radę wojenną, na którą zaprosił głównych spiskowców. Stawili się: elew Putkammer — Kleszczyński, gosp. Antoni Światała z Rywałdu, czeladnik garncarski Wilhelm Wysocki ze Starogardu, dzierżawca Jan Mazurowski z Bytonji i ks. proboszcz Pomieczyński ze Subków. Pomieczyński był właśnie upatrzony na adjunkta biskupiego.

Rada postanowiła, że atak na Starogard miał nastąpić z dwóch stron: 1) od szosy chojnickiej przez Mazurow-

skiego i Lipińskiego i ich ludzi. Aresztować mieli oficerów i żołnierzy znajdujących się w kwaterach cywilnych; 2) od szosy tczewskiej przez Kleszczyńskiego i ludzi z Rywałdu i Klonówki. Oddział ten miał się następnie podzielić na dwa, z których jeden miał zająć stajnie wojskowe, a drugi sukiennice. Ceynowa miał się udać do miasta i tam czekać na oddziały. Dowódcy oddziałów mieli się przed rozpoczęciem ataku zgłosić u niego i odebrać ostatnie rozkazy.

Po naradzie zaczęły się gromadzić oddziały. Mazurowski zebrał w Bytonji 5 chłopów i poprowadził ich do Sumina, gdzie się połączył z Lipińskim. Razem liczył ten oddział 30 ludzi. Na 3 czterokonnych saniach podwiózł Lipiński oddział ten pod Starogard i zatrzymał go jeden kilometr od miasta na szosie chojnickiej i zdał Ceynowie raport, że oddział już nadszedł.

Światała i Danowski z Rywałdu zebraли około 60 ludzi przeważn. z Rywałdu i poprowadzili ich do Starogardu, zatrzymując się na szosie tczewskiej, na skraju lasu, ks. Łobodzki zgromadził również kilku swoich i dworskich ludzi z Klonówki i Neumusa, tak że oddział ten liczył ca. 30 ludzi. Nad złączonym oddziałem rywałdzkim i klonowickim objął dowództwo Kleszczyński i podzielił go na 2 pod wodzą Światały i Hese'go. Zadaniem tych oddziałów było wykonać atak na stajnie i arsenał.

Gdy Kl. wydał odpowiedni rozkaz, powstańcy, a szczególnie Hese, odmówili posłuszeństwa. Gdy Kleszczyński o tem Ceynowie zaraportował, polecił mu Ceynowa, aby jeszcze raz do ludzi przemówił. Kleszczyński to uczynił, ale bez skutku. Wskutek tego dał C. rozkaz oddziały rozpuścić. To samo musieli uczynić, chcąc niechcąc Mazurowski i Lipiński ze swoimi ludźmi, chociaż ci byli chętni i gotowi do boju. Na tem się skończyła wyprawa na Starogard. Następstwa jej były tragiczne. Za pośredni udział w tej akcji dostało się 24 na ławę oskarżonych. Sprawę starogardzką sądzono razem ze sprawą Mierosławskiego. Oskarżonych o zdradę stanu było wogóle 254. Wyrokiem z 2. XII. 1847 r. zasądzono 58, pomiędzy nimi 8 na karę śmierci. Do tych ośmiu należał także Ceynowa, ks. Łobodzki i Kleszczyński. Kara śmierci została zmieniona w drodze łaski na długoletnie więzienie, lecz już w roku 1848 przyniosła rewolucja marcowa wszystkim więźniom politycznym wolność.

Niefortunne powstanie Mierosławskiego zdyskredytowało na Pomorzu ideologję powstańczą zupełnie, tak że w r. 1848 nie myślano nawet na Pomorzu o jakimś zbrojnym odruchu. Rok 1848 i w Księstwie uczynił swoje. Teorja Marcinkowskiego o konieczności organicznej pracy narodowej wzięła górę nad ideą powstańczą. Ceynowa również wyrzekł się zbrojnego czynu i szukał szczęścia i przyszłości dla swoich Kaszubów we wzajemności słowiańskiej, a wreszcie w panslawizmie pod egidą rosyjską.



RYNEK W TUCHOLI

STADNICKI

Alfons Warczak.

WYCINEK Z DZIEJÓW WYCHOWANIA NA POMORZU

W „Muzeum Regionalnem“ w Tucholi mieści się tablica pamiątkowa z następującym tekstem: „Pamięci Bartłomieja Nowodworskiego, rycerza bez skazy i trwogi, który przez swe wiekopomne fundacje na cele oświaty i nauki nierozwalnym węzłem połączył Bory Tucholskie z kulturą polską. Bartłomiej Nowodworski¹), urodzeniem szlachcic, klejnotu Nałęcz, powiatu tucholskiego, województwa pomorskiego w Prusiech, archidiecezji gnieźnieńskiej, kawaler maltański św. Jana Chrzciciela z Jeruzalem, K. J. M. sekretarz i rotmistrz, obrócił zbiorek swój, ciężką, niebezpieczną, a prawie krwawą robotą wojenną wyrobioną, na wychowanie czterech studentów z powiatu tucholskiego, trzech szlachciców, a czwarty miejskiej kondycji z miasta samego Tucholi“.

¹ Nowodworski odznaczył się wielkim męstwem w wojnie moskiewskiej (1609 — 1618) przy zdobyciu Smoleńska, gdzie stracił prawą rękę.

O dziejach tej fundacji, t. zw. „Bursie Tucholskiej“, słów kilka.

Średnie wieki nie знаły wychowania młodzieży bez ścisłego nadzoru i wspólnego mieszkania. To też przy niemal wszystkich uniwersytetach istniały domy dla studentów, nazwane bursami¹⁾. Powstały one z ofiarności zających ludzi. Były u nas bursy dwojakie: jedne mające stałe fundusze od różnych fundatorów, inne nie posiadające stałych funduszy, utrzymywane przez profesorów uniwersytetu. Młodzież, mieszkająca w nich razem z nauczycielami, otrzymywała nie tylko schronienie i utrzymanie, lecz także przygotowanie do korzystania z wykładów uniwersyteckich. Stały nadzór zmuszał młodzież do zajęć i chronił ją przed wykołajaniem. W Polsce istniało dużo burs, zwłaszcza w Krakowie. Najsławniejsze były bursy: Jeruzalem, Długosza, Sisinięgo, Węgierska, Czeska. Zamożni studenci płacili za utrzymanie w bursie, ubodzy mieli bezpłatne utrzymanie, a oprócz tego nieradko jeszcze wsparcie pieniężne. Na czele bursy stał senjor, prowadzący nadzór. Był to bezpośredni przełożony bursaków. Zarząd gospodarczy prowadził prowizor, wybierany z grona starszych profesorów. Mieszkał on poza bursą.

Taką burską była też „Bursa Tucholska“, założona przez Nowodworskiego w Krakowie. Kapitał bursy, wynoszący 5.000 złp., ulokował on w roku 1617 na dobrach: Szczepniebruszu i Słupcu, a procent (6%) od tego kapitału, t. j. 300 złp., przeznaczył na utrzymanie czterech studentów z powiatu tucholskiego. Akademię Krakowską zobowiązał Nowodworski, żeby kapitał dała na „widerkał, czynsze (odsetki) dozornie wybierała i co komu przyjdzie cało oddawała“. Fundację powierzył opiece prowizora, wybranego co dwa lata z pomiędzy profesorów teologów, albo prawników uniwersytetu. Prowizor był „głową i władcą całej fundacji“. Jego obowiązkiem było czuwać nad spełnianiem woli testatora. Prowadził on t. zw. „metrykę alumnów“, w której zapisywał ich nazwiska, ojczyznę, świadectwa. Notował w niej też wszystkie dochody i wydatki. Rachunki z bursy zdawał co rok około Białej Niedzieli przed rektorem i dziekanami wszystkich czterech wydziałów w obecności alumnów, których imiona i świadectwa odczytywał. Za pracę pobierał 52 złp. rocznie. Pierwszym prowizorem był IMCX. Jakób Janidło ob. praw doktor i profesor, kanonik sądecki, podkanclerz Akademii Krakowskiej.

Prawo wybierania i zalecania alumnów nadał Nowo-

¹⁾ Wyraz bursa miał dwojakie znaczenie. Oznaczał on pewną kwotę pieniężną, stypendjum dla młodzieży. (Francuskie: la bourse, niemieckie: Börse). Zczasem i zakłady (podobne do dzisiejszych internatów, konwiktów), w których ta młodzież mieszkała, nazwano bursami, młodzież samą zaś bursakami.

dworski księdzu plebanowi tucholskiemu. Miał on zalecać każdego kandydata piśmiennem świadectwem, zawierającym szczegóły o urodzeniu w powiecie, o zachowaniu się i pilności klienta¹⁾. Prowizorowi zaś dał „moc i wolność przyjmowania do bursy zaleconych i oddalenia niegodnych“. Prowizor czuwał nad studjami, pilnością i zachowaniem się klientów. Leniwego miał upomnieć, zapisując to w metryce. „Jeżeliby zaś trzykroć upomniany nie chciał się obaczyć, albo też co znacznego wykroczył, wtedy trzeba mu ująć połowicę obroku, albo ile mu się będzie zdało“. Po trzykrotnem upomnieniu student został wydalony, a „Wielebny pleban tucholski miał na to miejsce drugiego przedstawić“.

„Alumni Nowodworsciani“ — wychowañcy Nowodworscy — mieszkali w „Bursie Jeruzalem“ i dostawali co sobotę po złotemu, co rocznie uczyniło 52 złp. Było to jak na owe czasy stypendjum poważne.

Korzystać mogli z bursy tylko „z pocztu wiernych Kościoła Rzymskiego“. Każdy klient musiał „pod zawiązaniem sumienia swego co niedzielę za fundatora zmówić pięć Ojcze nasz i pięć Zdrowaś, co kwartał zaś modlić się za jego duszę, w czasie mszy św., odprawianych za dusze wszystkich fundatorów“.

Klient mógł korzystać z bursy pięć lat. Po trzech latach wolno mu było zostać bakałarzem²⁾.

Nowodworski nakreślił dosyć szczegółowy plan pracy dla klientów. Wielki nacisk położył na ćwiczenia w wymowie i dysputach.

Fundacja Nowodworskiego była dla tucholan wielkiem dobrodziejstwem. Nie korzystali oni niestety z niego w całej pełni. Są lata, w których ani jeden tucholanin nie mieszka w bursie, a prowizor „w braku Tucholaków“ przyjmuje studentów z różnych części Rzeczypospolitej, a nawet z Węgier.

Różne czynniki oddziaływały niezawodnie na kształtowanie się takich okoliczności. Pokuszę się o wydobycie niektórych z nich.

Ze zapisków w „metryce“ wiemy, że sam Nowodworski i jego synowiec Jerzy zupełnie zignorowali przepisy fundacji, sami zalecając klientów, do czego, rzecz ściśle biorąc, nie mieli prawa. Jeżeli postępowanie Nowodworskich możnaby jeszcze wytłumaczyć różnemi względami — wszak, Bartłomiej to fundator — to już trudno zrozumieć, czemu prowizor przyjmował studentów zalecanych przez osoby postronne, jak np. przez sędziego tucholskiego, podkomorzego IKM. Tuchołkę, który w roku 1676 przysłał do bursy dwóch klientów ze szlachty tucholskiej. Trzeba do-

¹⁾ Alumnów nazywano też klientami.

²⁾ Nauczycielami w większych miastach bywali „bakałarze promowani“, w uboższych miasteczkach kierował szkołą klecha.

dać, że w tym samym czasie korzystało wyjątkowo aż 5 alumnów z bursy, co wyraźnie sprzeciwiało się woli testatora. Ów piąty, to właśnie zalecony przez Tucholkę.

W latach 1674 — 1675 było w bursie czterech tucholan: Sielski, Pirucki i Rażek. Czwarty, Mikołaj Lacki, zalecony przez Magistrat tucholski, musiał ustąpić miejsca Skrockiemu, „prezentowanemu prawnie“, t. zn. przez proboszcza tucholskiego. Zwolnienie Lackiego nie może budzić zastrzeżeń, gdyż odpowiada przepisom. Ale w zestawieniu z powyżej wspomnianym faktem nabiera ono specyficznego zabarwienia. Robi się wyjątki dla pana sędziego, a nie dopuszcza się do wyjątków, jeżeli chodzi o zatrzymanie kandydata w bursie, zaleconego przez Magistrat. Widocznie pan sędzia i podkomorzy cieszyli się większymi wpływami, aniżeli mieszczański Magistrat.

Widzimy, że „władca całej fundacji“ niezawsze traktował sprawy personalne z należytą subtelnością, co mogło zniechęcić zainteresowanych do korzystania z fundacji.

Położenie zewnętrzne i wewnętrzne kraju w wieku XVII i XVIII wcale nie sprzyjało uprawianiu i krzewieniu oświaty. Wiek XVII to wiek krwawy, żelazny¹⁾. Ciągłe walki religijne, stanowe i polityczne całkowicie absorbowały umysły, porywały i unosiły ze sobą młodzież. Akademia i nauka polska na tem nie mało cierpiały. Szlachta polska poczęła unikać akademji, stawiając nad nią uniwersytety zagraniczne. Pomimo podejmowanych prób zreformowania Akademji wiek XVIII nie zdołał jej przynieść pożądanego rozwoju.

Wichury wojenne niszczyły dobra materialne. Z fundacji Nowodworskiego nie wpływały regularnie odsetki, np. od 1737 — 1757 r., t. zn. przez 20 lat, nie płacono ani grosza. To samo powtórzyło się w czasie od 1758 — 1778 r.

A zatem: ignorancja i naruszenie przepisów przez samych fundatorów i prowizorów, burze wojenne, walki religijne, stanowe i polityczne, upadek Akademji, brak funduszków (odsetków), duch czasu, psychiczne nastawienie młodzieży — oto czynniki, które możnaby przytoczyć dla usprawiedliwienia tucholan.

Oto kilka ważniejszych faktów, dat i nazwisk z dziejów „Bursy Tucholskiej“. Można przypuszczać, że od 1618 — 1757 r. korzystało z bursy przez czas krótszy lub dłuższy około 100 tucholan²⁾. Pierwszym klientem był Fabjan Pawłowski, szlachcic, ale nie tucholanin. Przybył on do Krakowa w 1618 roku. W 1621 roku panowała w Krakowie zaraza³⁾, alumni uciekli z bursy. Po dwóch latach (1623) zjawił się pierwszy tucholanin Tilcius. W roku 1637 znajduje się w bursie po raz pierwszy czterech tucholan. Osta-

¹⁾ Np. najazd szwedzki wygnął z Krakowa młodzież.

²⁾ Zapisy nie są dokładne.

³⁾ Tak samo w latach 1623, 1624, 1652, 1677.

tni nazywali się: Mateusz Szpakowski i Jan Kanty Laskiewicz (1742 — 1743). Inni studenci nie tucholanie, pobierali stypendja do roku 1746. W roku 1757 ginie wiadomość o „Bursie Tucholskiej“. Zapomniano o niej zupełnie. Po 6 latach (1763) nazwano ją przez pomyłkę „Bursą Chelmińską“. Wsparcia udzielano z odsetek fundacji Nowodworskiego alumnom „Bursy Jerozolimskiej“ jeszcze do roku 1778, lecz nie z tytułu „Bursy Tucholskiej“. Na tym zapisie kończą się rachunki bursy wogóle. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w ostatnich latach korzystali z bursy klienci, zwani „ingenui“, t. zn. synowie włościan zwolnionych z poddaństwa.

Nowodworski uczynił jeszcze jedną fundację dla tucholan. Miała ona dla szerszego ogółu może większe znaczenie od pierwszej. Ułożył ją Nowodworski najprawdopodobniej z plebanem tucholskim, Janem Nowodworskim. Kapitał — 2.000 złp. — ulokował Nowodworski w roku 1621 na dobrach Naściechowicach i Dziewięciołach, a czynsz przeznaczył na utrzymanie jednego „Mistrza nauk wyzwolonych i Philozophiey z Akademji Krakowskiej przy szkole pharskiej“¹⁾ w Tucholi. Pensja dla „mistrza“, pobierana przez niego w ratach półrocznych, wynosiła 120 złp. rocznie. Zapis wspomina jeszcze o „pewnych inszych pożytkach w Tucholi“. O „mistrzach“ posiadamy tylko skąpe wiadomości. Zachowały się jedynie trzy nazwiska. V. D.²⁾ magister **Seweryn Parnasius** pobrał w 1636 r. od prowizora sześćdziesiąt złp. na kosztą podróży³⁾ do szkoły tucholskiej, a w 1637 r. otrzymał tę samą sumę magister **Jan Sadowski**, filozofji doktor. W roku 1650 posłano do Tucholi V. D. **Heronima Castelli**.

Zarząd szkoły złożył Nowodworski w ręce księdza plebana tucholskiego. Miał on co rok egzaminować żaków (uczniów), żeby się przekonać „jaki postępek wzięli w gramatyce, arytmetyce i muzyce przez naukę krakowskiego mistrza“.

Jaki obowiązek nałożył Nowodworski na „Pana mistrza?“ — Miał przedewszystkiem udzielać prawd wiary chrześcijańskiej, nauki czytania, pisania i rachowania. Poza tem „mistrz może przydać w sobotę arytmetyki nieco y muzyki cokolwiek sam, abo Kantor“. Pierwszym jego obowiązkiem jednak jest, „żeby kazał żakom tucholskim w każdą niedzielę, zaraz po sumie śpiewać Boga-rodzica,

¹⁾ W krajach chrześcijańskich nauczaniem w szkołach zajmowali się parochowie. Stąd szkoły te nazwano parochjalnemi albo parafjalnemi. Gdy czynności duszpasterskie duchownych wzrastały, nie mogli już spełniać czynności nauczycielskich i musieli się starać o nauczycieli świeckich.

²⁾ V. D. = Venerabilis Domini, cò dowodzi, że był klerykiem.

³⁾ Nie są to — zdaje się — kosztą podróży w ścisłym znaczeniu, lecz jest to pierwsza rata pensji.

skoro tylko celebrans ite missa est wygłosił: „Przynajmniej pięć razy w roku winien urządzać z młodzieżą komedje, tragedje albo deklamacje, a odpisy tych przedstawień teatralnych posyłać prowizorowi.

Od roku 1726 nie udzielano w Tucholi nauki, a w roku 1767 został po szkole parafjalnej tylko pusty plac. To też dochody z tej fundacji wciąż rosły, „ale są odkładane dla mistrza, o którym niema wprowadzić wiadomości, ale na żądanie trzeba będzie posłać“. Zapiski dochodów prowadzono do roku 1769.

Gdy po rozbiorze rząd pruski zaczynał mianować podoficerów do szkół miejskich, przypomnieli sobie tucholanie fundację Nowodworskiego. W roku 1789 zwrócił się ksiądz Marcin Thiede do rządu pruskiego¹⁾, żeby reklamował **obie** fundacje Nowodworskiego od Uniwersytetu Krakowskiego. Tucholanie domagają się, by Akademią bezpłatnie utrzymywała i uczyła czterech studentów tucholskich. Co się zaś tyczy drugiej fundacji, to żądają, by Uniwersytet od razu wypłacił zaległą sumę, która za czas od 1726 do 1789 r. wynosi 1.160 talarów, przypadającą na utrzymanie „mistrza“. Spłaciwszy tę zaległość, miał Uniwersytet odtąd regularnie i punktualnie przysyłać nauczyciela. W odpowiedzi na swoją „petycję“ otrzymał ksiądz Thiede od regencji w Kwidzynie (7. V. 1790 r.) pismo kanclerza koronnego Okęckiego (z roku 1785)²⁾ w celu bliższego rozpatrzenia go i zajęcia stanowiska wobec wywodów kanclerza.

Czy obszerny memoriał w sprawie fundacji Nowodworskiego, znajdujący się w aktach Magistratu, jest **autentycznym** pismem kanclerza Okęckiego wzgl. jego **dosłownym** odpisem, trudno dziś rozstrzygnąć, gdyż niema w nim ani nazwy miejscowości, w której został wystawiony, ani daty, ani podpisu, ani pieczęci³⁾.

Jaka jest jego treść? — Uniwersytet Krakowski wyjaśnia, że utrzymywał w bursie studentów z powiatu tucholskiego i miasta, póki proboszcz je przysyłał. Wina zatem proboszczów, że nikogo nie „zalecali“. Co zaś do nauczyciela, to miasto może go zażądać, ale musi mu zagwarantować dawniejsze dochody⁴⁾.

Nie wiemy, jakie stanowisko zajął ksiądz Thiede wobec tych wywodów, jakimi argumentami uzasadniał swój punkt widzenia. Pewne tylko jest, że konsekwentnie upo-

¹⁾ Do akcji księdza proboszcza przyłączył się potem Magistrat, który od roku 1785 prowadził pertraktacje. Bezpośrednio prowadził je właściwie rząd pruski.

²⁾ Stąd możnaby wnioskować, że istniała już jakaś korespondencja między rządem pruskim a kanclerzem przed zajęciem się sprawą przez ks. proboszcza.

³⁾ Jest to, zdaje się, jakiś „załącznik“ do pisma urzędowego. Czy prawdziwy, niewiadomo.

⁴⁾ Które? Pensję pobierał „mistrz“ przecież z fundacji. Ze zapisu nie wynika **wyraźnie**, że miasto **zobowiązane** jest do dostarczenia mistrzowi „innych pożytków“.

minał się w Kwidzynie o rychłe załatwienie sprawy. Wysyłał „monita“ 18. VII. 1791, 19. VII. 1792, 7. VIII 1793. Na ostatnie pismo otrzymał lakoniczną odpowiedź (11. X. 1793 r.), że cała sprawa nie nadaje się do urzędowej interwencji u rządu praskiego, gdyż spór między miastem a Uniwersytetem Krakowskim ma charakter prywatny i winien być załatwiony (nie przez rząd pruski) w drodze bezpośredniej, t. zn. przez miasto i Uniwersytet.

Po siedmiu latach otrzymują członkowie Dozoru Kościelnego Piłza i Frydrychowicz pismo z Kwidzyna (1798), w którym regencja donosi, że na mocy konwencji, zawartej w roku 1797 z dworem wiedeńskim, nie można się niczego dopominać od Uniwersytetu i trzeba korespondencyj zaprzestać.

Treść pisma kanclerza Okęckiego, postawiona wyraźnie w świetle faktów historycznych, jest niezrozumiała. Wiemy, że Kołłątaj zamknął w roku 1783 rachunki wszystkich burs i zlał je w jedną masę. A zatem i fundacje Nowodworskiego utonęły w tej masie. Jakże mógł wtedy Okęcki w roku 1785 jeszcze pisać o fundacjach tucholskich, jeżeli one już nie istniały? A jednak nie należy przypuszczać, by Okęcki nie znał faktycznego stanu rzeczy! Konwencja, na którą się regencja w swem piśmie z roku 1798 powołuje, została zawarta w Petersburgu przez mocarstwa rozbiorowe (26. I. 1797.). Przyznawała ona każdemu z tych mocarstw wszystkie kapitały duchowe, zahipotekowane na dobrach, leżących na ich obszarach państwowych. Część majątku uniwersytetu, która przypadła Prusom, oszacowano wówczas na 212.974 złp. 15,5 gr., nie licząc w tę sumę 3333,5 dukatów, którą winien był magistrat w Gdańsku.

Wiedząc prawdopodobnie o tem, że rząd pruski zagarnął tak poważne sumy, potraktowali tucholanie pismo regencji z roku 1798 jako pospolity wykręt i nie zaprzestali dochodzenia swych pretensyj. Zwrócili się teraz z niemi do samego rządu pruskiego, na którym w ich rozumieniu ciążył obowiązek spłaty wzgl. uregulowania sprawy fundacyj. Jeszcze w roku 1818 upominają się katolicy w ostrej formie o swe prawa i żądają od regencji odszkodowania za to, że rząd pruski nie dosyć energicznie bronił ich interesów. Rząd jednak obstawał przy swoim.

Tak przedstawia się w krótkich zarysach historia dwóch fundacyj Nowodworskiego.

Literatura:

- 1) X. Dr. Wł. Chodkowski, Bursy tucholska i chełmińska w Krakowie. Kolonja krakowska w Tucholi.
- 2) Prof. Dr. Antoni Karbowski, Szkoły diecezji chełmińskiej w wiekach średnich.
- 3) A. Karbowski, Materjały do dziejów wychowania i szkół w ziemi chełmińskiej 1808 — 1814.
- 4) Romuald Frydrychowicz, Geschichte der Stadt, der Komthurei und Starostei Tuchel.
- 5) Akta Magistratu miasta Tucholi. Lit. S. Nr. 9.
- 6) Stanisław Kot, Historia wychowania.

CIEKAWY I NIEZNANE ZABYTKI PRZESZŁOŚCI WYBRZEŻA POLSKIEGO W KOPENHADZE

Tablice woskowe z XIV i XV wieku. — Kto je odkrył? — Sposób sporządzania tablic. — Od kiedy weszły w użycie i do czego służyły? — Zapisy na tablicach woskowych gdańskich i kopenhaskich. — Niezbadany szczegół, jaką drogą tablice dostały się do Kopenhagi?

Przeglądając kroniki poszczególnych miejscowości wybrzeża polskiego, spotyka się często wzmianki, że niektóre dane historyczne są czerpane z tablic woskowych, znajdujących się w Wielkiej Bibliotece Królewskiej w Kopenhadze (Bibliotheca Regia Hafniensis — Det Kongelige Bibliotek København). Nasuwają się pytania, czym są wzmiankowane tablice woskowe? Skąd się wzięły? Jakie mają wartości kulturalno - historyczne?

W pracach autorów polskich o wybrzeżu naszym, mimo skrętnych poszukiwań nie znalazłem żadnej wzmianki na temat woskowych tablic kopenhaskich i, o ile mi wiadomo, nikt dotychczas w Polsce nie zajmował się ich opisaniem. W roku 1931 bawiąc statkiem Żegluga Polskiej z wycieczką w Kopenhadze, miałem możność dzięki życzliwości bibliotekarza Wielkiej Biblioteki Królewskiej p. prof. Ellen Jorgensen, tablice zobaczyć, jak również uzyskać zdjęcie tablicy ze strony 23. Posługując się materiałem, uzyskanym w Kopenhadze, jak również osobistymi wrażeniami, podaję niektóre szczegóły dotyczące tablic, które może rzucą snop światła na zacytowane powyżej pytania:

W Wielkiej Bibliotece Królewskiej w Kopenhadze tablice woskowe z sądu łęborsko - puckiego odkryte zostały w r. 1879 przez prof. historii dr. Hassego z Kilonji, wysłanego specjalnie do Kopenhagi dla przeprowadzenia studiów historycznych; opisał je i opublikował w zeszycie IV Wschodnio - Pruskiego Towarzystwa Historycznego z r. 1881 A. Bertling. Tablice woskowe znane były już w starożytności przez Greków i Rzymian do nauki pisania i sposób używania tablic woskowych przetrwał aż do wieków średnich.

Tablice wyrabiano w sposób następujący: deszczułki wydrążano tak, że pozostawiano po bokach wąskie listewki, a w środku cienkie deseczki. Do wydrążenia wlewano zabarwiony na kolor ciemny wosk, wyglądający po ostygnięciu. Tak przygotowana tablica służyć mogła do pisania, które uskutecziano przy pomocy metalowego ryłka.

Z początku wyrabiano tablice jednostronne, później dwustronne, wiążąc je na wzór dzisiejszych zeszytów tak, że strony zewnętrzne powleczone woskiem, mogły nadal służyć do pisania, a zarazem tworzyły ochronę dla zapisanych już we wnętrzu stron. Dwustronny ten „zeszyt“ z czasem uzupełniany był przez dalsze tablice. W wiekach średnich tablice znacznie udoskonalono przez zwiększenie ich formatu do wielkości 30×50 cm. (W tej wielkości znajdują się w bibliotece w Gdańsku) i 30×40 cm. (wielkość tablic w Kopenhadze), oraz aby przy tak wielkim formacie uczynić powłokę woskową trwalszą i bardziej przylegającą do ścian wydrążonej deseczki, wycinano na tych płaszczyznach, które miały być pokryte woskiem, rowki. Zagłębienie przeznaczone na wosk dzielono środkiem listewki, która tworzyła jakby w dzisiejszym dzienniku dwa łamy. Dalszym udoskonaleniem było, że jedna wkładka rozszerzana była na więcej obustronnych tablic, wiązanych ze sobą przy pomocy metalowego spinacza o kształcie grubego foljantu. Tak sporządzone są tablice kopenhaskie; zawierają 14 obustronnych tablic i przednią tylko okładkę, tylną zaginęła.

Tablic woskowych używano do rozmaitych zapisów. Na tablicach, znajdujących się w Gdańsku, prowadzono rejestr podatków, ewidencję mieszkańców i notowano rachunki. Tablice kopenhaskie używane były jako księga protokolarna wyroków sądu łęborsko - puckiego. Zapisy sięgają lat 1373 — 1419. Gdy foljant był zapisany, a znajdujące się zapiski uważano za niepotrzebne, wygładzano ponownie stronicę i używano tablic do ponownych zapisów.

Nasuwa się pytanie, dlaczego używano tablic woskowych, wiedząc, że jest to materiał kruchy i ulegający szybko niszczeniu i to do tak ważnych rzeczy, jakimi są protokoły i wyroki sądowe. Odpowiedź na to daje nam historia, która mówi, że do końca XIV w. i na początku XV stulecia w sądach nie prowadzono żadnych piśmiennych relacyj, względnie nie wydawano żadnych piśmiennych wyroków, wszystko załatwiano ustnie, z wyjątkiem ważnych rozpraw i wyroków o znaczeniu zasadniczym. Do tego wówczas używano tablic woskowych.

Zapisy na tablicach w Kopenhadze mają specjalne znaczenie, gdyż dotyczą wymiaru sprawiedliwości na ziemiach naszego wybrzeża przez sądy łęborsko - puckie. To że tekst na tablicach jest protokołem rozpraw, czyni je niezmiernie ciekawymi i wartościowymi; dają bowiem obraz sądownictwa Pomorza za czasów krzyżackich, gdyż zawierają ugody, oświadczenia, zeznania, nałożone grzywny i kary. Z nich dowiadujemy się, że na Pomorzu było czynnych 6 sądów ziemskich w miastach: Gdańsku, Tczewie, Świeciu, Tucholi, Człuchowie, Łęborku względnie Pucku. Do okręgu łęborsko - puckiego należała okolica

nadmorska, dzisiejszy powiat morski po Redę i linię Śmiechow — Strzebielino oraz cały powiat lęborski, znajdujący się obecnie w Niemczech.

W sądownictwie posługiwano się prawem krajowem, względnie chełmińskiem, zmodyfikowanem prawem magdeburskiem oraz flamandzkim, co uwidacznia się w tem, że do spadku po rodzicach przypuszczano tylko dzieci z pominięciem żony i krewnych. Jako sędziego zapiski wymieniają komtura lęborskiego i jego zastępcy, tamtejszego włodarza. Jako rozjemca w jednym tylko wypadku figuruje w 1382 r. Gniewomir Krokow. Sąd składał się z sędziego, jako przewodniczącego i 4 ławników. Ławnikami byli członkowie okolicznej szlachty i sprawowali swój urząd na podstawie zobowiązania. Na rozprawy wzywani bywali przez przewodniczącego.

Sądy odbywały się w Lęborgu i Pucku trzy razy w roku, w terminach zgóry oznaczonych: na Matkę Boską Gromniczną, na św. Jana i w grudniu. Przewodnictwo sprawował i zagajał rozprawy sędzia. Skargę mógł wnieść każdy, mający uprawnienie do urzędu ławnika, sam poszkodowany lub w jego zastępstwie krewny, ewentualnie przyjaciel. Kobiety z reguły musiały mieć swego zastępcę. Do wniesienia skargi nie można było nikogo zmusić. Czasami sam przewodniczący wnosił skargę w wypadku, gdy widział, że dobro publiczne tego wymaga. Oskarżonego wzywał sąd przez woźnego; ów, podczas przewodu mógł się bronić sam, albo przy pomocy świadków lub też obrońcy; mógł przyznać się do winy albo zaprzeczyć. Liczba świadków wynosiła 6 albo 3 osoby, zaprzysięgane równocześnie. Gdy oskarżony na pytania sądu nie dawał żadnych odpowiedzi, bywał karany grzywną. Gdy nie stawiał się przed sądem pomimo wezwania, był również karany grzywną i wzywany po raz drugi i trzeci. Jeżeli mimo to do wezwania się nie zastosował, nakładano na niego grzywnę i skazywano na banicję. Po przeprowadzeniu rozprawy dowodowej i odwodowej żądał sędzia od któregokolwiek ławnika sformułowania sentencji wyroku, co następowało po wspólnej naradzie ławników. O ile wyrok ławników został przez sędziego zaakceptowany, wówczas go ogłaszano. Wyrok mógł być zaczepiony przez strony, a krytykowany przez każdego obecnego na rozprawie. Od wyroku przysługiwało prawo odwołania do wyższej instancji, a w niektórych wypadkach do samego wielkiego mistrza.

Sądy krajowe zwoływano w Gdańsku. W skład sądu tego wchodziło oprócz sędziego 8 ławników z 24 okręgów. Wyrok sądu krajowego był zazwyczaj ostatecznym. W jednym tylko wypadku, jaki figuruje na tablicach woskowych, odwołano się do sądu biskupiego we Włocławku, z czego wnioskować należy, że zainteresowany był osobą duchowną.

Rozprawy prowadzono w języku niemieckim i w tym

języku pisano protokoły oraz wydawano wyroki. Mimo to na tablicach woskowych dadzą się wyśledzić pewne wpływy językowe polskie. Co zaś do rozpraw głośniejszych przed sądem lęborsko - puckim, to musiały się one odbywać głównie po polsku, gdyż, pomimo prowadzonego energicznie przez zakon osadnictwa niemieckiego, żywioł słowiański był wówczas bardzo silny w obu powyższych powiatach. Dowodzą tego i liczne występujące na tablicach nazwiska „włodyczków“ polskich w owych powiatach.

Z tablic tych dowiadujemy się o przedmiotach rozpraw; dotyczyły one spraw opiekuńczych, dzierżaw, spadków, kupna, sporów granicznych, przywilejów, długów, naruszeń miru domowego, najazdów, rabunków, oporów przy wykonywaniu wyroków, ugód i szkód majątkowych. Tablice podają też wysokość kar. Rozprawy sądowe odbywały się bezpłatnie. Za odwołanie się jednak do wyższej instancji trzeba było ponosić koszty, które wynikały z emolumentów sędziego, dalej z czynności woźnego i zwrotu diet oraz kosztów podróży ławnikom. Korzyści materialne miał sędzia ze ściąganych grzywien za niedotrzymanie ugody, w wypadku naruszenia godności i obrazy sądu, z kar, które wpływały z okupu.

Woskowe tablice kopenhaskie nie tylko dają doskonały obraz sądownictwa na Pomorzu za czasów krzyżackich, ale odzwierciedlają znakomicie ówczesne stosunki gospodarcze, społeczne i rodzinne. Ponadto posiadają nieocenioną wartość, że z pośród zapisanych na nich 280 nazwisk prawie że wszystkie imiona i nazwiska są polskie, co jest wymownym dowodem, że wybrzeże nasze w tym czasie było polskie i że charakter polski miało pogranicze, dziś znajdujące się w Niemczech.

Ciekawe są również szczegóły, charakteryzujące ówczesnych mieszkańców wybrzeża. Dowiadujemy się bowiem, że wśród mieszkańców są osobnicy skłonni do gwałtów i najazdów, nie cofający się przed mordem i rabunkiem, nie szanujący cudzej własności, mienia i zdrowia, że ogół ludności jest porywczy i do bitek skory.

O stosunkach gospodarczych dowiadujemy się z tablicy, wzmiankującej, ile córka właściciela majątku Nanic otrzymała posagu, jak również, ile pewna wdowa uzyskała zaopatrzenia na starość; na innej znowu tablicy są zawarte szczegóły, dotyczące wartości majątku.

W zakończeniu pozostawiamy otwartą kwestję, jakim sposobem tak cenne zapiski historyczne znalazły się w Kopenhadze? Wyświetleniem tego, jak i opracowaniem tekstu tablic powinni zainteresować się nasi uczeni!

St. Czernicki



Szołobułka w 3 aktach

Opracowano na podstawie powiastki A. Budzisa: „Żelezôk przed sądę“ *).

OSOBE:

Sędza
Przësężny I i II
Lesny
Cëzy, to je Smętk
Memka
Agust Szloga, gospodarz moły
Albertyna, dzewus
Sroka, wozny sądowy
Wiła lesno
Baba
Krosnię
Lëdzë, wiłë, krosniëta.

AKT 1:

Młody Agust Szloga leży pod lasę i wżero na swoji domostwo!
Dzeń je cudny i ptoszki miło szwirgoł. Agust obuty je po kaszëbsku.
Spik go morzy i on zaczyno cëcho do se gadac:

Skończëło sę pólnie a jednak jesz kwiczã

Proszëta moły. Tak je, są głodny.

Mój tatk nieboszczek mie rzek to słowo:

Kochany mój sënie, na żëwiznę zdrzë,

Że bë na niczym ji nie zbywało,

Bo i ona boskim stworzenië je,

Co ból i głód i miłosc odczuwo.

(zdzëwiony)

Co to? — Jakos paniënka wchodo.

Lesno wiła w powiëwnych ruchnach tanecznym chodë na scenę wła-
tywo i miło przed nim tóńczy. Spiëwny ji głos wërazno do niego doloto:

*) **Uwaga.** Drukujemy ten utwór kaszubski jako jedyny dotych-
czas okaz kaszubskiej krotchwili (szołobułki), mogacëj nadto ucho-
dzić za krotchwilë marjonetkową.

Ten rodzaj sztuki teatralnej jest u nas wogóle słabo reprezen-
towany, niech więc Agust Szloga ją swoją przëznaczã osobã wzbogaci.

Poza tem utwór ten zawiera wiele ciekawych wyrazów i wyra-
żeń kaszubskich, a jest wprost z duszy ludu kaszubskiego wyjęty i du-
szę tę niezle odtwarza.

Kiej słonyszko
grzeje
W pogodny dzień,
Těj człowiek
umyko
W orzėwną cėń.
(chichoce i tóńczy)

W ceni go omoto
Cėdowny sen,
Co serce wėlėczy
Z bolącėch ren.
(chichoce i tóńczy)

Muleczku kochany,
Tė słodko spiysz
A jednak krėjamkc
Na wilę zdrzysz.
(chichoce i tóńczy)

AGUST



Agust sė zrywio i goni wilę, co go w rozmaity sposób wobio i tanczym skokę wcyg przed nim umyko. Zapatrzony Agust upodo a wilę nogle z przerażonym krzykė zniko. Agust powstojio i godo:

Ala, jo upod, sromotny wstėdė!
Tak snoży jo nijak jesz niewidzoł dzėwki.
Ta ze wsė niebėła, to rzecz je pewno.
Tak miło, tak letko i tak wiesolo,
Jaż wkoło sė serca mię cepło stało.
Taki mię trzeba! Jakbė ji dostac?

(po chwily)

Jak tej w Kartuzach na wielgim targu.
Mój tatk sė pytoł: „Co chco bė tē, synku?“
Jo zdrzoł na zobowki, wtym z jedny bude
Dwa ocoze migną. Jo był jesz moły
I z pustk dalekiech, jo rzek do ojca:
„Co to je, tatk?“ — „To je pokusa“,
Odrzėko tatk, a jo go prosył:
„Kupice mię, tatk, tē piėkną pokusę!“
A tatk le rzek: „Doj poku, synku!
Tē jes jesz za moły, to późni bądze“.
A jo sė wzbrąnioł i zdrzec le muszoł
Na tē pokusę, a ta sė smiała.
I wcyg jo o ni te lata mėslył —
Jo muszė jesz roz na torg do Kartuz!

(zdzėwiouy)

Co to? — Jakis krosnię sė kraczo.

Na scenę wchodo krosnię czerwiono obuty, z dlugą brodą, z twarzą pomorloną, i pokraczonym chodę zblyżo sė do Szłogi i pyto:

Czë jes të Agust, nazwany Szloga,
Co je gospodarz ze krwië i serca?

Do niego mie sle wësoki noczelnik,
Bë wiërnje mu slëżëc w potrzebie jego.

Agust: Tak je. Të trafił, bo jo jem Szloga,

Co pore le swiñ w podwórku chowie!

Posłëchoj, jak one ju znowu kwiczã!

Kiëj te podrosta, jo mdë bogaty

I wierë możny jak wielgi pãn.

Krosnië: Wëstrzegoj së lasu, tu złë së krãcy

I ce w nieszczescy bë mogło wplëtac.

Omijoj Smëtka, jo radzë dobrze,

Inaczy cebie do budë zamknã.

(odchodo).

Agust: Do budë zamknã, jak psa do budë!

Ten moły człowiek rzek wielgi słowo.

Wej krosnië ju wlazło przez próg do swini!

(zamészlony)

Gdzie drobny së włożã, tam złë nie przyńdze,

Tam dobrze idze z dobëtka, chowã.

Ob dzeñ gospodarz a ob noc krosniëta

Czuwają wiërnje nad całym domostwë.

Witojta u mie, miły krosniëta!

Przez tylnã scenë przechodo Albertyna z kapeluszą na rëce. Memka

Agusta wchowo ze stronë z wëbórke w rëce i obzëro së wkól.

Memka: Të leżysz, lópa, o swinie niedbosz,

W ceni wëlëgosz, a jo tu sama

O wszëtким mësłë, o wszëtким radzë.

Agust: Tak je, o memko, jo zaro idë.

Memka: Ju mechu nima, prosëtom mokro,

Të zgniëla jaki, kiëj të së zrëszysz?

Nizódny dzëwczë ce niemdze chëalo!

(na bok)

A Tyna mie rzekła, że on së ji widzy.

Agust: Nie szkalojce, memko, jo zaro pudë,

Jo wszëtko zrobië i mechu zgarne.

(memka odchodo).

Memka mie wcyg dzëwczëtami straszyl!

(po chwily)

Do lasu nie bioj, tak rzekło krosnië,

Umëkoj z niego, bo złë tam sedzy.

Co tero poczyc? Co jo nieborok

Swy memce rzekë a mojëch próscy

Mie żol së robi. Jo biédny człowiek!

Lesny przechodo przez scenë z klupã do numrowanio drzëw i udowo
së w las. Agust go uwożnie slëdzy i uceszony do se godo:

Wej lesny idze numrowac drzewo,

Tero je chwila dlo mie sposobno.

On dalek pudze, a jo tu z brzegu

Tymczasem zgarne i nazod muknë.

Dwigoj së Gusce a celsko wstani!

Agust zabiëro miech pod poché i chutkim krokë oddolo së w las po-
blyski. Przëstona spodo, ale wkrótce së znów podniëse. Szloga spotkoł
człowieka w drodze i z nim rozmowio.

C ě z y: Jak w ě s ě mi ě woce, dr ě chu Szloga?

A g u s t: Jak P a n b ě g daje, tak s ě powodzy.

C ě z y: Cz ě bi ě da i w a m dokucz o bar o?

A g u s t: W ě tr z ě mac s ě do, jak idze, tak idze.

C ě z y: Jo lesnygo potkoł, on szed nabijac
Spuszczony ch ě jki na dr ě gim k ě ncu.

A g u s t: Jo t ě z go widzoł, ale ostr ě zno s ě
Nikom u na swiece nie zaszko d z ě la.

C ě z y: To prowda, dr ě chu, jo da ly id ě
A w a m jo z ě cz ě wszelakiego szc esco.

A g u s t: B ě g zapłac, panie, szc esl ě wy drogi!

C ě z y:

(na bok)

Jo sprawi ě, z ě Tyn ě on nie dost a n ě e.
(odchodo w las).

A g u s t:

długo zdrzy za odchodz a c ym, kr a c y g ł o w a i pomału rzecze:

On rzek mie: dr ě chu, ale jo nie wiem,

Chto b ě c b ě to m ě g. Ten usmi ě ch g ł upy,

To g ł upy pytani i w k ě ncu z ě cz eni!

Mie nic s ě dobrogo w g ł owie nie m ě kcy.

A jak on w ě zdrzoł z tym d ł ugi m no s ě

I kr ě t k a br ě d k a na w a s ki twar zy!

On cos pod no s ě do c ě cho br z a t w i y ł.

(po chwili)

W ě dzeroj mech i chutko um ě koj.

W tym nadchodo lesny i s ě przez d ě g s z y c z a s prz ě z ě ro, jak skrz ě tnie
Agust zgaryno igl ě n ě i mech z pod jał ě w c ě w w ě d z ě ro i na gromad ě
skłodo. Lesny s ě zbly z y i zawrzeszczy:

L e s n y: Co t ě tu robisz, przegrzecha jako??

A g u s t: Ko mech zgaryn a m, co w a m do tego?

L e s n y: A mosz t ě cedel, niw ě lko wiejski?

A g u s t: Ala z ě, panie! W ě pewno jesce

Ja z z k ě nca swiata. W ě chcece cedel?

L e s n y: Drzece so mech, mie nic ce nic.

Co w ě so m ě slyce, jo choł b ě wiedzec.

A g u s t: Co jo tak m ě szl ě, to jo w a m rzek ě.

W ě szl ě numrowac do lasu drzewo

B ě takim fyf ě ud ě bac l ě dzy.

Cz ě je to pi ě kno od takigo pana,

Co mo kult ě r ě i w ni ě oplywo

Jak p a c z k sma z ony w majewym masle?

Cz ě P a n b ě g ko z ě, cz ě to je wolno:

Inaczy gadac a inaczy robic

A t ě z porz a d n ě ch nasmiewac s ě l ě dzy

Przekł ě to bucha, bezbo z ny czasy,

Wnet gr ě m i pior ě n w nadroz ě m trzasnie!

L e s n y: Ten miech jo wezn ě a Was jo uda m.

A g u s t: Tak ni ě, m ě j panie, to m ě j inwentorz

A memka srodze b ě szkalowała,

Ki ě j jo b ě l ě zy do ch ě c zy wr ě cy ł.

Lesny:

(chwyto za miech)

Tě niepopiekly niedoczënielcu!

Agust: Jesz roz, mój panie! Tu je zopłata

I zaro cedel, jak wë to chcelë.

Agust trzasnie piscą lesnygo w tworz, a ten sę jak miech wëwroco.

A widzysz, panie, to za obrazę.

Spokójno leżë, kutërno jucho,

Bo jak sę zrëszysz, jesz roz gromisto

Ce strzółka trafi i buchę spoly!

Lesny leży spokojno na zemi. Tymczasë Szloga sę spieszy, zgaryno igłënë i mech, zarzucio miechulc na krzept, obezdrzy sę na lesnygo i chutkim krokę zmyko! Po chwili wstojë lesny i odchodzy w las. Przesłona spodo i, wnet sę podniëse.

Agust wroco z mechë i rzucio miech na ziemię. Memka wëchodo z izbë,

Agust: Tu je poscółka dla naszëch próscy.

Memka: Muleczku, dobrze. Jo zaro pudę

I pod nie wscełë. Ten mech je sëchy

I mitko sę chwocy jak jedwob jaki.

Agust: To jedwob lesny, dło swiń przëdatny.

Memka: Muleczku, spoczni! Jo zaro przyndę

I wnet wieczera mdze zgotowano.

Jo wiedno rzekła, że të jes chëtny.

(odchodo).

Agust:

usodo na leżącym korczu i wesprze zjeżoną głowë na dłoniach.

Żë tëż mie muszół ten cëzy potkac

I mie tak długo zatrëmac w lese!

Inaczy jo bë był rëchly odszed

I chutczy wrócył, nim lesny przëbył.

Ju bëc tak miało, to Smëtk go przëgnoł.

A tero mie tropi ta popëdlëwosc,

Z jaką jo powstół na lesnygo godność.

Jo wiëm, że to mie nie wyńdze na dobré,

Ale sę stało, odcëzdac trzeba,

Co dzeń witrzëjszy na mie sprowadzy.

Krosnië:

przë posłëdnych jego słowach sę pokozóło i blysko niego przësadło na drzewie.

Co cë tak mortwi, co cë dolégo?

Proszëta w chléwie spokojno leżã

Na mitkim mechu a jo do ciebie

Na chwilkę przësos, bë ce poceszec,

Bo jak jo widzë, ce smutk oploto.

Agust: Të rzek mie prowde, ten las mie zgubi.

Mie lesny zdobył i jo sę z nim zwadzył.

On pod na ziemię, tak jo mu uszed

A tero dokuczo mie głos sëmienio.

Krosnië: Jo daję cë radę, ta mdze potrzebno:

Wëgadoj słowa tak poprzëkrëtny,

Żë nicht cë za zlé ich wzye nimóze,

Choc chytrogłupie są ułożony,

A miec ce bądã za niedopółka.

Agust: Niech je, jak mdze, to dobro je rada.

Krosnię: A tero bëwoj, do chowë jo idë,
A milszo redosc cë rozwiësely. (odchodo).

Wiła:

ostróżno na scenë së wsuwo jak na początku i zaczyno tónczëc. Słodkim głosë ona do sedzącygo Augusta së odzëwo.

Kiëj slónce zapodo
Za krzëptë gór,
Otmyko së nocë
Czarowny dwór.
(chichoce i tónczy)

WIŁA



Ju swiat së cały
W pomroce skrył,
Z zogaju wëłoto
Gromada wiył.
(chichoce i tónczy)

Muleczku kochany,
Të smëtny jes,
Wstani na nogi
A w tun mie wez.
(chichoce i tónczy)

Memka:

we fartuchu i z kórkwią w ręce wëchodo z izbë i woło:

Poj le no, Gusce, wieczera je.

August: Jo zaro przyńdë. Gdzie wiła osta?

Dwigoj së Szłoga, a bioj së zmocnic.

August odchodo do chëczy. Wtym na scenë przëbiëgo krosnię a trzë wiłë za nim. Të biorzą krosnię we westrzódk i tónczą w nodzëkszëch skokach. Krosnię bezradnie së wkól obroco. Wnet spodo przesłona.

AKT 2:

Wielgi plac w miesce. Torg. Lëdze zbiërają së przed sądë. Wiele spotyko së znajomëch i zëwo rozprowio o różnëch rzeczach. Smiëchi i żale.

Pierszy: Ju je dzewiãto, a nicht së nie zjowio.

Drëgi: Daleko droga! Jo jem za swiodka.

Trzeci: Wej, sędza idze, ustëpuj z drogi.

Sędza powożnym chodë idze przez plac i zniko za dwiërzami sądu.

Pierszy: Cëdowny zëcy ty panowie maja.

Drëgi: Wëlëżą së dobrze, a mało robią.

Trzeci: Mój syn mdze uczył së tëż za pana.

(smiëchi i chichote).

Dwaj przęsężny, zëwo godającë ze sobą, idą przez scenę i wchodzą przez główny dwiërze do domu sądowego.

Pierszy: Przęsężny przëszlë, ju wnet sę rozpocznie.

Drëgi: Jo jem czekawy, jak mię sę udo.

Trzeci: Co to za człowiek, skąd ten przëbywo?

Wchodo Agust Szloga i dzëko sę wkół obzëro. Ruchna mu nie leżą i on wëdrzy jak bë jaki z rozëmu obrany. Lëdze z niego sę smieją.

Agust: Ha, jak ty lëdze sę wkół krzåtają

I spiesznie nëkają, bë nimiele czasu!

Jo ima nimogë z drogi wëminąc.

To tu ju mo bëc, ten dóm sądowy,

Do tego jo dostoł, në, zaproszeni.

(lëdze sę smieją).

Ze sądu jak z procë wëłoto wozny Sroka i wrzeszczy na cały gardło.

Wozny: A jes të Szloga? Ju sędza woło

Ce po roz trzeci. Poj na rozprawę.

Agust: Zobawę tu oni chcą ze mną zrobic!

Umëkoj, Szloga, niech czort cę goni.

Wozny: Holla, mój brace, kry kry, mój ptoszku,

Tak zaro nie udo sę tobie wëmknąc.

Szloga ucëko, wozny go goni, roz z ty, tej z drëgi strone około scene.

Wozny: Chwatojta Szlogę, co nam umyko.

Agust: Trzëmojta srokę, co głośno krzyko.

Wozny: Chwatojta Szlogę, co lesnygo pobil.

Agust: Trzëmojta lapsa, co glëpstwo robi.

Wozny: Stani że, drëszku, jo jem kulawy.

Agust: Kiëj bëc ju muszy, to dobrowólnie.

Agust włoto przez dwiërze do sądu, wozny kulawo za nim. Lud sę smiejë. Albertyna w chusce stojącë na stronie z koszyckę w ręce, głëbok wzdycha. Przesłona spodo i wnet sę podniëse.

Sędza sedzy przë stole i dwóch przëseżnych. Wtym wchodo Cëzy i pocëchu szepce sedzy cos do ucha. Sędza sę usmiëcho i rzecze:

Sędza: Dobrze, przyjacelu, doskonale!

Cëzy sę oddolo i do izbë włoto Szloga, za nim wozny sądowy.

Agust: Retëнку, sędza! Ten biës mië goni.

Wozny: Ten diócheł umyko, a niedo sę chwacëc.

Sędza: Stanita przë stole, jo mdę sę pytol.

Szloga ustawi sę szërok przed stolë sędzewym, sędza otmyko kseę.

Sędza: ..

(polaszy)

A jaka wasza wysoka godnosc?

Agust: Tak głodny jo niejem, wësoki sędze!

Jo zabrol so memczyn pączk na drogę

I zjod calëchny, bo on był smaczny.

Sędza: Nazwisko i imię?

Agust: Zarozki, zaro!

Jak doma i tu jo chcę zaczënac:

W imię tatka, w imię matki.

Sędza: Pytajce wy, jo nie dam rady.

Przëseżny I: Pań sędza sę pyto o twoji miono.

Agust: Nië, mienio jo nimam, proset le czwioro.

Przëseżny II: A jakusz że memka do cebie godo?

Agust: Kiëj ona rozżarto, sekretnie rëczy:

A lelek a lola a leżok a czapa;

A kiéj jo do lasu mam ic za mechę:
Gusteczku, muleczku, otroczku, synku.

Przësëżny I: A jak sę szołtes do ce odzëwo?

Agust: A lëwer a lorbas a lópa a lëbas.

Przësëżny II: A kiéj të podatki mu mosz zaplacëc?

Agust: Tëj on wëczëto: pan Agust Szloga.

Sëdza: Augustyn Szloga, pytam sę znowu.

Agust: Tak nié, sądowy, dzys nieje szloga,
Pësyzynko slónce na niebie swiécy,
Przëgrzëwo cëpło, a jo jem Szloga.

Sëdza: A pański stan?

Agust: Ko na dwóch nogach.

Sëdza: A zatrudnienie?

Agust: Nié, trëdu, jo nimam.

Bo memka chleba ju nijak nie piecze,
Le czasë na wëglach mie pączk uskwarzy.

Przësëżny I: Co të nam gniecesz?

Agust: Wejta le, zdrzëta!

Przësëżny II: A jaką të mosz tëj hanteryngë?

Agust: Jo chodzę do lasu i klaftë robię!

Sëdza: Robotnik?

Przësëżny I: Tak je.

Przësëżny II: On je klaftownik.

Sëdza: A urodzony?

Agust: Jo mëszyłë, że tak.

Nolepi to jednak wam memka rzecze!
To bëło, kiéj tak sę mocno lyskało.

Sëdza: A teraz, w jakiej wsy zamieszkały?

Agust: Nié, wszy jo nimam, bo memka piërżë
Wëskwarzy dobrze w czëstëchny wodze
A nigde w kale, jak sëdza godo.

Sëdza: A byli wy kiedy karany w sądze?

Agust: Karowany do sądu jo dzyso niejem.
Jo sam tu przëszed, le Sroka mie gonik.

Przësëżny I: Të pleszczesz a gniecesz.

Przësëżny II: Rozëmno gadoj!

Agust: Głupëch nie seją, samy sę rodzą.

Sëdza:

(niecerplëwy)

Nie chcece rozumnie zeznawac,
To każë was stąd odprowadzyc.

Agust: Jesz rod, mój panie! Bëdzëce tak dobry,
Bo memka żdze, a swinie kwiczą!
Mie odprowadzëc, to nieje trzeba,

(kłanio së)

Oddajë Bogu, jo sam so pudë.

Szloga chce odëc, ale wozny w kark go chwoto. Szamotani wielgi.

Sëdza: Sluchajce, czy wy zwarzowali?

Agust: Z Wejrowa jo niejem, tam są ty głupy!
Jo jem le z pustk, gdzie biëda leży.

Sëdza: Złodziejstwo wasze jest karygodne.

A g u s t: Mój panie, pan co złęgo sę stało
 Jo był za mechę w państwowy lese,
 A dzyso je prawie to miesąc temu,
 Bo memka tak chca. Jo w miech go le nabroł,
 Bo w chlęwie mokro, a prósce kwiczą.
 Podatki jo płacę, co w tym je złęgo?
 S ę d z a: Czy więc do winy sę przyznajece?
 A g u s t: Do wina nié, to je za drogi,
 Jo dosc mam biédę ze zaplacenim,
 Ale kiěj waszo ju tako wola,
 Do lagi kornusu chcę jo sę przëznac.
 P r z ę s ę ż n y I: A móże tē górz na lesnygo miol.
 P r z ę s ę ż n y II: Bo tē mu tak wgrzoł, że dzys on jesz
 chlęcho.
 A g u s t: E gdzie tam górz. Mie muszało mierhzec,
 Że on tak chytrze mie chcoł udëbac.
 On szed numrowac chojewy klatfe,
 A jo tymczasę chcoł mechu halac.
 Wtym on zawrzeszczy, jaż jo sę urzas,
 Ale jo gorzu niżódnygo nimioł
 I letko go smuknął le chustką do nosa,
 Letęchno cornął, a on sę copnął.
 P r z ę s ę ż n y I: To posmuknieni go wëwrócëlo.
 P r z ę s ę ż n y II: Pokażë nam ten grot do nosa,
 Chtërnym tē jemu dzël zëbów wëkid!
 P r z ę s ę ż n y I: Nie nużluj dlugo, pokazë chustkę.
 Szloga wëcygo z kieszeny pisc i pokazywo przelëktymu sędzy.

A g u s t: Tu ona je.
 S ą d c a ł y: Gromisto
 chustka.

S ę d z a:
 (do lesnygo)

Proszę pana,
 niech pan
 opowie,
 Jak sprawa
 z pozwanym
 sę odbywała.

L e s n y:
 (wstowo)

Jo szed do lasu
 i chcoł numrowac,
 Wtym czuł jo głose,
 że dwóch
 rozmowio.
 Jo podszed blëży
 i dobrze widzoł,
 Jak jeden odszed,
 a Szloga zaczął
 Wëdzerac mech.
 Tak jo sę pytoł,
 Czë mo on cedel?
 A on mie głupo



Jął odpowiadać. Tak jo zrażony
Mu szmėrznął słowo: niedoczėniėlcu!
Tėj on mie napod, a to je wszėtko.

Przėszėżny I: Urzėdnik wėrapio, to je obraza.

Przėszėżny II: A czuł tė sė, Szłoga, tėż obrażony?

Agust: A jak jesz, panie, za taki słowo!

Kiėj jo go widzė, mie w piscy swėdzy.

Przėszėżny I: To okolėczność, co rzecz łagodzy.

Przėszėżny II: To sprawė inaczy na twoji dobro.

Sėdza: Sprawa jest jasna. Narada sądu!

Sąd wėchodo do boczny izbe. Szłoga szamoce sė ze Sroka.

Agust: Co tė mie trzymosz, glėpiėło jaki?

Wozny: Bo tė bėś zmyknał, tė natrzasałcu.

Agust: Przed tobą nigdė, przegrzecho przemądro.

Wozny: Miėj bocznosc, braco, ju sąd sė waly.

Obai sė pusca. Sąd z urocześtą miną zajimo miescy za stolė.

Sėdza: Po krótkiej naradzie nasz sąd oswiadcza,

Że Szłoga Augustyn za kradzież lesną

I srogie pobice urzėdnika państwa

Po złagodzeniu surowygo prawa

Na sztyry niedzele mdze zasadzony

A koszta rozprawy ponieśe państwo.

Szłoga rzuczo swojå szadå głowå i nimoże tego pojic. On wrzeszczy.

Agust: Co we godalė? Jesz roz, mój panie!

Blėzy, muleczku, co ja ce sygnė

I dām zopłatė za osądzeni.

Sądżėta, kiėj chcėta! Robita tak daly,

To wnet wėzdėchnå prosėta i chowa.

Niedoczėniėlce a aresztanėce,

Czė tak wa znajeta prawo boży:

Co tobie niemiło, nikomu nieczyń,

A to ju słowo mo bėc ostatny:

Mscėwy zawdė dwa razė tracy,

Chto dólki kopie, ten sam w nie wpodo.

Dożdżėta le, braco, nadeńdze pomsta!

A to mo bėc dło mie pocięcha:

Chto kamieniė w ce, to tė go chlebė.

A tė, kukurejko, mdzė pozdrowiono,

Bo baro to znåno je twoja cnota,

Przed nikim nie zamknåc goscėnnygo wrota.

Do bude jo muszė, to je pso jėka.

A tero, Sroka, mie wez pod remiė,

Do ce na tani jo urlop idė.

Przesłona zapodo i wnet sė podnoszo. Dwai przėszėżny wėchodzą ze sądu i źėwo ze sobå godajå. Lud ich obstapi i sė wėpėtywo.

Jedėn: A Szłoga ostoł?

Drėgi: Czė on nie przyńdze?

Dzewus: To wa go nijak nie wėretala?

(placze).

Przėszėżny: Ma robiła, co ma mogła.

Wėchodo sėdza a z nim Cėzy. Ty wėwijajå rėkuma i sė smiejå.

Różne głosy:

I.

Kultëra górą, cerpi notëra —

II.

Doždžëta le dwai, ju pomsta idze! —

III.

Zasadzac lëdzy za bële drobnosc —

IV.

Ta rzecz o pomstę do nieba woło,

I lëdzki rozëm na drodze stanął.

Wrzawa. Przesłona zapodo. Słëchac dalszy krzyki za przesłoną. Kiej na chwilę sę podnieše widzec je rozbudzonech. Zapodo.

AKT 3:

Agust Szloga sedzy w izbie przë ogniszczu głëbok zamëszlony. Wchodo wiła, obzëro go i zacyno pocëchu spiëwnym głosem gadac.

Wiła:

Wrócył gospodarz

Z daleki drogi

I cëcho wstąpił

W ojczësty progi.

(okrąco sę i tónczy).

Ceszą sę dëchi

I redo wiła,

Co baro, muleczku,

Za tobą teskniła.

(obroco sę i tónczy).

Smętny on sedzy,

A cëz ce dolëgo?

Jo pytają ciebie,

Bogatëra swëgo.

(obroco sę i tónczy).



Agust podnoszo zdëwiony głowë, a wiła chutko przed jego zroکہ umyko.

Agust: Mie sę zdowało, że głos mie doloto

Przëjaznëch dëchow, co chëczy strzegã.

Nikogo nima, opustoszały

Sã chlëw i chëcze. Jo sam so ogin

Tu muszoł zniecëc, mie głód dokuczo.

Ha, jakis głosë! To wiater jiczy,

Szamoce drzewa i dóm obloto.

Czë nima memki? Gdze ona bawi?

Wchodo do izbë mocno sę trzëśacë storo baba i chraplëwym głosem rzecze.

B a b a: Mie zëmno, buh! Tak wichier wieje!

Czë jo sę mogę tu përznę ugrzoc?

A g u s t: Tak, sadni, babo; tu dosc je ognia.

Agust podskoco ogin, a baba grzeje skostniały swoji paje.

B a b a: Jakże sę miéwosz? Ce smëtłk utropio.

A g u s t: Tak je. Jo miesąc był na pokuce,

A kiëj jo wrócył, są pusty chëcze.

B a b a: Powrócy memka, nadchodo wieczor,

A las od wiatru sę gnë i zybie!

Przecudno dzëwka towarzy memce.

(wstowo).

A cëz jo tero jem dlëžno tobie?

A g u s t: Ach, babo, nic! Ko té nic nimosz.

Cëz të, ubogo, bë dac mie mogła?

B a b a: Tu mosz piszczolkę. Kiëj na ni zagrosz,

To muszy koždy, co zły mo mëslë,

Przed tobą wëwijac tanecznym skokë.

Agust bierze piszczolkę, baba odchodzi, wichier straszno gwiyżdë.

Deszcz o rute chlaszcze.

A g u s t: Chtos klepie! Proszë! Przëjancel? Wëndzë!

Wchodzą lesny, sędza i Cëzy. Wichier dwiërze zatrzask i komin rëczy.

L e s n y: Mdze pochwołony.

A g u s t: Witojtaż, drësze.

Sędza: Më zabłądzële w ty zawierësze.

A wicher szarpie, że sëszminie lecą.

C ë z y: Plëzgawica straszno!

A g u s t: Sadnita blëży!

Sodają przë ogniu i wzërają na Szlogë, co prawie ogin podskoco.

L e s n y:

(pocëchu)

To Agust Szloga.

Sędza: O retuj, panie!

C ë z y: Tak je, ten sam. To jego chëcze.

Sędza: Że też nieszczescy nas tu zagnało.

L e s n y: Pobawime chwiyłkę.

C ë z y: (wëchodzy).

Jo zaro wróćë.

Szloga przëmrużonym okë ich slëdzył i w se sę usmiëcho.

O b a i: Gdzie je ten trzeci?

A g u s t: To był mądrala.

On szed i zginał we wietrznym mroku.

Sędza: To bëc nimóże!

A g u s t: Tak je, mój drëchu.

L e s n y: Co to mo znaczec?

A g u s t: Jo zaro powiem.

Tak! Zło sę mscy ju tu na zemi.

Sędza i lesny pozërają po sobie i przëkiwają są do odëndzenio.

A g u s t: Ju wa so dobrze tu odpoczëła

A tero mie slëchojta, biédnygo Szlogë.

Jo nauczę waji kultëre swójski

I wa mie bądżeta za nië wdżëczno

Jak jo pamiętaję przyë miejską!

Wëcëgojta snoże pieszczony nóżki!

Agust wějimo piszczołkę i węgrywo na ni kile skoczných tonow. Prze-
razonym goscom lotają nogi, ręce i głowa. Agust sę smieje.

A g u s t: Początek sę udoł, a tero mdze „owczorz“.

Agust graje, a oni dwaji wějijają skocznygo „owczarza“ przęspięwa-
jącë sobie. Ręchi ich są baro smięszny. Agust chodzi i gwiyżdże.

L e s n y: Wichier szamoce, ręczy jak morze,

Lesny udybo biédnygo w borze.

(tóncza).

S ę d z a: Sędza zasodo, wpycho za rute,

Przestani gwizdac, dosc ju pokute.

(tóncza).

R a z ę: Zawdë na swiece miłość popiéroj,

Nigdë ze Smętkę dręstwa nie zwiéroj.

(tóncza).

Szłoga przestoł grac i tónczarze so chwiylkę odpoczywają.

A g u s t: Nouka kultëre jesz daly idze.

„Owczorz“ sę udoł, a tero w „szewca“.

Agust graje, a ny dwai tónczące „szewca“ przęspięwują.

L e s n y: Lesny strzëło pu,

pu, puh,

Zajic chëjo ru, tu, tuh!

Lesny biego, zajic zmyko,

Lesny na psa głosno

krzyko:

Hejdelyszkum, hejdely,

Hejdelyszkum, hejdala!

(tóncza).

S ę d z a: Sędza wrzeszczy

hej, rum, rum,

Wozny biego wy, dy,

bum!

Sędza godo, wozny

piysze,

Kiëj pomyly, to wëlyże:

Hejdelyszkum, hejdely,

Hejdelyszkum, hejdala!

(tóncza).

R a z ę:

(Cëzy oknę wzëro).

Trzeci ucek, jakużto,

Oknę wzëro ha, ha, ho!

Pojle, brace, a potańcuj,

Razę z nama firlefańcuj:

Hejdelyszkum, hejdely,

Hejdelyszkum, hejdala!

(tóncza).



Szłoga urywo grę a tónczarze so odpoczywają i proszą o zakończeni.

L e s n y: Ju dosc, panëszku, ma tóncowała.

S ę d z a: I dosc za grzechi pokutowała.

A g u s t: Nouka sę kończy, jësz w jednym le trzeba

(Pokazac sę tóncu, tój biejta z Bogę.

Na tero „gołąbk“ je przeznaczony.

Agust zagrywo jego melodie, ju oni go ida, dwa raze wkół, co trzeci
roz jeden z nich zaspiewo.

Lesny: Nowo nouka baro sę przëdo,
Lesnymu cudny owoce wëdo,
Juchaj, dydlum, tralala,
Tuly, tuly, hahaha;

(tónczą).

Sędza: Noga wëwijo, rëka podloto,
Chodzec le strzëbro, skakac je złoto,
Juchaj, dydlum, tralala,
Tuly, tuly, hahaha!

(tónczą).

Razę: Wichier zadudni, bór sę kolybie,
Tóncorz na polcach lëtko sę zybie,
Juchaj, dydlum, tralala,
Tuly, tuly, hahaha!

(tónczą).

Szloga przestoł. Tóncarze nisko sę kłaniają i chutko wëchodzą.

Agust: Tero mie dobrze, urok je zjëty,
Wiesołosc biyje z redosnygo serca.
Gdzeżes të, memko, powracoj chutko
A te piszczołko, przecudno gwizdawko,
Bioj so odpoczyc do naszy skrzënie.

(wëzëro)

Ha, pruszki biegają, ju memka idze.

Memka powroco z pola, Agust wëchodzy na próg i ręce rozjimo.

Agust: Witojceż, memko!

Memka: Jak të sę miéwosz?

Agust: Jo nazod wrócył.

Memka: Jo buszki pała.

Agust: Pojce do izbë wieczerzë zrobic.

Memka:

(wchodo)

Jak jo sę ceszë, że të jes doma!

Memka krzàto sę przë ogniszczu, wtym do izbe zazëro snoży dzewus.

Memka:

(wiesoło)

To je pokusa.

Agust: Ta sama, co jo roz z tatkę widzoł
W Kartuzach na targu? Jo był jesz moły!

Memka: Ta istno, synku. Wéndzë le, Tyno!

Piekno Albertyna niesmiało sę zblyżo. Memka ję przëroczo.

Agust: Ala, jak pëszo të jes urosło!

Memka: A ona, jaki jesz mo serdëszko!

Płakała nad tobą, kiéj ic të muszoł,

Bywała co wieczor u twoji memki,

Kormiła prosëta, jak bë ju włosny,

A tero przësza, bë mie poceszec.

Tyna: Nie gadojce, memko, bo mie je jakos.

Memka: To ta bë dlo ce jedyno bëła.

Agust: Co nato mie rzecze téż Albertyna?

Tyna: To samo, co memka ju wëgodała.

Agust:

(uredany)

Doj póte! Przepraszajë, podoj mie rëkë!

Podowają so ręce i sę ceszą. Wtym zjowio sę chur krosniët, obstapia

ich wkoło i zaczynają spiewać. Wiła przez okno wzéro i kosko w ręce.

Krosnięta:

Krosnięta më moły
Po chęczach
i chlëwach
So nócymie spiewe
I jesme wiesoły.

**MEM
KA**



Krosnięta
më skrzętny
W stodole i sklepie,
Gospodorza swëgo
Më witame chętny.

Krosnięta më rójny
W ogródku,
podwórku
Dozéráme chowę
I krowiska dójny.

Krosnięta sę obrocają, kłaniają sę i odchodzą. Memka stowio wieczere. Wszëtcë zasodają do stołu i Agust rzecze.

Agust: Jak jo so marzył, tak mi sę dzeje.
Czë nie jem jo możny, jak król na tronie!
A moja królewo przesnoży krasë
Cudniészjo mie je nad wszëtko w swiece!

Albertyna spojéro wdól, Agust uceszony na nią wzéro.

Memka: ..

(miło)

Tero le pojta do stołu sadac,
Wiesoło sobie o szczescu gadac,
Ju Smętk nimóże przeszkodë zmadac!
Wiesolosc w izbie, choc wichier rëczy. Przesłona zapodo.



Wobrogost Młostawa

CZEŚĆ III.

J SĘ STAŁO

(Ciąg dalszy).

Jo so mėsłył, w zamiészaniu
Móże leźnosc sę wędarzy,
Ze jo zgładzę Wojewodę
I so weznę whukochaną.

Ale to sę niewhudało,
Bój był srogi, whon go dobył
I whokręty wieczną gańbą
Jo sę kręc po kątach muszę.

Dzerzewoj jaż przerażony
Ręce wzníos i whocze zwikszy,
Dagomir na głos zaręczy:
Jo przekłęty jem baniyta! —

2. A whon wstoł i wëpiył czarę,
Wcēsnał czopk i jak whobarkły
Wëbieg z chęcze i sę w drogę
Wprost na Pierszczewo zapusecy.

I whon gnoł jak zwiérz reniony
I jaż do Gostomia doszed;
Schodo dzén, przed jego whokę
Góra ponad bór wërosto.

Gęsty las whu stóp ji leży,
Trzebiszczu whu górze świecy
I jak strzała wëpuszczono
Dagomir do niy podązo.

Niedalek w samotny choce
Midze chróstami schowany
Jesz pogański ksyżnik mieszko,
Lúd czarownikę go zowie.

Chto je w baro wielgi biédze,
Ten whudowo sę do niego,
Tak i Dagomir tu dotąd
Tero po poradę nęko.

I whon weszed z whogrodzeni
I przëblyżo sę do chote,
Chote krzëwy i whobrosły,
Pies bezpiecznie go przepúszczo.

Wchodo w nię, nad piysmę zgięty
Sedzy długi chłop whumiarty
Tak, że jemu sę wëdowo,
Iż to duch minionech czasow.

Ten podezdrzy, sępi whoko
Chłodno go jak miecz przeszywo,
Jego nos jak dzëb jastrzëbi
Wdól do brode sę zekrzëwio.

Dagomir, choc niewërzasły,
Wzdrugnął sę i sę zatrzymo
I na miescu jakbe whity
Niyski jemu whoddoł poklón.

Po co tē tu przëbył, woju?
Gowor jakbe z grobu wyńdze
I whon prosy: Whojczu, radzē!
Whopowiady, swiätник wzëwo.

Dagomir mu kłábek rozwiyo
Swych miłosnech niepowodzeń
I sę pyto, jaki sposób
Móg bē szczeszy mu zaszczepic.

Kszyżnik mu sę przėsłęchwył,
Koždy rěch whuwoźnie ślédzył
I jak mowa sę skończēła,
Niyskim głōsę mu whodrzecze:

Czē tē gotow jes na wszētko
I niczego sę nielękosz,
Rzeczē: tak a dzyso tobie
Naszo chwała sę whukoże.

Pody polc, krēwie jo weznę
A to wielgi mo znaczeni.
Kięjbē tē sę przeniewierzył,
Nic ju cebie niewhureto.

Swarogowo moc je wielgo,
Bēle jiny, co drēzele,
Jo sę pytają ce, człecze,
Czē tē gotow jes na wszētko?

I mu Dagomir whoswiodeczy:
Boga niech sę woła dzeje,
I go swiätnik wēprowadzo:
To wie poj, tē cēda whuzdrzysz.

Whoni szlē, na Łęsygōrze
Szary mrok se rozposcéro,
Wiater dmúcho, drzewa szēmią,
Nocny lęk wkól nich whusodo.

Gromisłow, tak zwie sę ksyżnik,
Wkoło nich whocygo koło,
Tēj whon w cemną noc zakrzyknie
Pierszy cēdotwórczy słowo.

I w whoddaly zaswitało,
Wiyd sę zblyžo i rozrosto,
Rzek czarownik: Mie sę trzēmy,
Zaro Wielgi Duch sę zjawi.

Łysknie sę i gróm whuderzy,
Góra cało zodrēzała
I przed jich wērzasłym whokę
Stoji wielgi chłop whognisty.

3. Rzecze jemu czornoksyżnik:
Pēty sę a duch whodpowie,
I sę Dagomir zapyto:
Czē jo whuzdrzę Miłosławę?

Gowor jak grzëmot zarëknie:
W nokrotszy ję nocy whuzdrzysz,
Whodzew z boru wkól powroco,
Łysk i gróm a wyidmo znikło.

Cemnosc górę pochłoneła,
Dreszcz przebiego mu po krzepce,
Czornoksyżnik rzek zakłëcy
I w hognisto kula wpodo.

Kolę whona wkól whobloto,
Coroz chutschym krąży biege;
Ksyżnik drëgi rzek zakłëcy
I wëprysnie białogłowa.

Cúdno niasta, niespokójno,
Jakbe wnątrzný żor ję zjodoł,
Skłodo wargi i zapyto:
Chto mie wołol? Czego żadosz?

Dagomir sę chwioł na nogach,
Ale swiętnik go podtrzymo,
I whon rzek drëżącym głose:
Czë mdze moją Miłosława?

Głos jak letny wiëw zaszemrze
I jak ptoszę zaszczëbioce:
Wój ję strzëże jasny, możny,
Miëj na bacznoscý sę przed niym.

I jak chmura sę na niebie
Whona w mroku rozplënęła,
Szarosc wkoło jich whobchwoto
I sę Gromisłow whodezwie:

Zorza swito, reny wiater
Górny wietwie ju porëszo,
Pojma precz i jo ce rzekę,
Co tã daly mosz zarzędzec.

Whoni jidą i do chote
Whobaji przëgięty weszle;
Gromisłow poczëto w rúnach
I do Dagomira rzece:

Dëchow trój whobsodo zemię:
Góre, lase, zdrzódla, wode,
Jedne lëdzom są whuslëżny
Zos złoslëwy przeszkodzają.

Szczesco wez miedzany piestrzyn
I go nosé wcyg przé sobie
Czê na kraju czê na wodze,
Miłosc whon do ce przëmuszcy.

Whon go wzał, na remię włożył
I na rozkoz Gromisława
Taki prosbe słowa wtórzy:
Niech mie Swarog dopomogo.

Gromisłow zamyko ksęgę
I do swégo gosca rzecze:
Tero jo ce chcę wéložec
A tē wcyg to miéj na mēsly.

Swarog, bóg nad wszétki bogi,
Całą noc w swy jutrzny kúzni
Nopředniéjszy złoto swarzy,
Gnie i biyje i przetworzo.

Skarog złotą tarczę kuje
I jak whona je skończono,
Młody Swarožyc ję bierze
I przez bramę dnia wéchodo.

Coroz wézy, coroz jasni
Whon w niebieski błone jidze,
Wstąpio możny i dobywo,
Mrok i zyb przed niym whucéko.

Żor ty tarcze tak je mocny,
Że go lědski wyd niezniese,
Że przed ji codzénym blaskę
Mrozny kraj stolémow miknie.

I whon cały swiat whobeńdze
I whostatny nórt rozgrzeje,
Whogin z kúznie pochwocony
Słónca tarcza w swiat rozprysko.

Noc przed niym sę copac muszy
I sę coroz barzy skroco,
Zyb woleczące sę whusuwo
I w północny nórt whumyko. —

4. Chcéwie Dagomir go slécho
I mu dzywnie serce skoko,
Whon sę ksyźnika zapyto:
Kiéj to je ta noc nokrotszo?

Gromisłow na niego wezdrzy,
Jakbe choł przeniknąc mėsle,
I whon mile mu whodpowie:
Slěchy, brace, jo ce rzeke.

Kiěj na niebie niyski slńce
Ledwie do nas whoke męrgnie,
Wschód Swarożeca to pierszy,
Bě poddobec gród niebieski.

Coroz jasni, coroz węży
Swarożyc na stopnie wstąpio,
Chmure schną i zyb whumyko,
Wnet je walki równowoga.

Wróg jesz roz wężyło moce,
Srogí wichre w bój wēleca,
Ale Swarożyc podskoczy
I niebieski gród dosygo.

Tak whon dobył, whon panėje,
Lud na zemi whognie poly,
W dzień nadlęgszy, w noc nokrotszą
Nowikszy je święto naszymy.

Swarożyc whodchodo z grodu,
Dzeń sę skroco, noc powikszo,
Po jesénny równowodze
Swarożyc do whojca wroco.

Zěma, lato, dwie te dobe
Wielgi mają przeznaczeni,
Bój to dnia z whodwieczną nocą,
Z chtěrny wszětko žęcy wężło.

Dagomir mu podżekowol
I mu doł noleżny dare:
Złoto, strzebro i sę w drogę
Poprzez bór pomorski puszczo.

Gromisłow do siebie rzecze:
Coroz gorszy czas nastowo,
Nowy ród i jinszy bogi
Na Pomorzu sę zjawile.

W kniejach kręc sę muszy wiara,
Chtěrna lud nasz prowadżęła,
Retra w grúzach i Arkona
I Swarożeno zginęło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z KASZUB I O KASZUBACH



Z TEKI POŚMIERTNEJ FILOMATÓW POMORSKICH

Ś. p. Infułat Ludwik Rogacki. Dnia 29. 7. 1932 r. zmarł prepozyt kapituły chełmińskiej ś. p. ks. Ludwik Rogacki, filomata pomorski.

Nieboszyk pochodził z ziemi lubawskiej, urodził się dnia 16. 8. 1859 r. w Nowemmieście n/D. z Franciszka i Katarzyny z Grzywaczów. Uczęszczał początkowo do progimnazjum Ks. Hunta w mieście rodzinnem, a potem do chełmińskiego, gdzie należał do tamtejszego towarzystwa filomatów. Po zdaniu matury w 1879 r. studjował w czasie walki kulturalnej z polecenia władzy biskupiej teologii, początkowo we Wrocławiu, gdzie był członkiem Tow. Akad. Słowiańskiego prof. Purkynego, a potem na uniwersytecie i seminarjum w Wuerzburgu w Bawarii, gdzie otrzymał święcenia kapłańskie w 1883 r. Ponieważ trwała jeszcze walka kulturalna, neopresbiter nie mógł być jeszcze ustalonym w duszpasterstwie, pomagał więc dorywczo ks. Kobierzyńskiemu w Kurzętniku i ks. Rochowskiemu w Skarlinie. Później powołał go ks. biskup Marwicz do Pelplina jako wikariusza katedralnego, skąd z końcem „Kulturkampfu” został posłany do Torunia, najprzód na stanowisko wikariusza przy kościele św. Jana, a potem administratora parafii Najśw. Maryi Panny, gdzie za swoją pracę społeczno - religijną musiał znosić niejedne sztykany pruskie. Po 5 latach pracy w Toruniu i przejściowo w Brodnicy, powołany został jako proboszcz do Wabcza w pow. chełmińskim, gdzie pracował przez lat 20. Tu należy podkreślić bardzo znamienny czyn jego patriotyczny. W 1900 r., kiedy się toczyło śledztwo w procesie toruńskim filomatów i filaretów pomorskich, a prokuratorja pruska przez swą policję śledziła każdy ich krok, chełmińscy wywieźli nocą swoją drogocenną bibliotekę, zawierającą wiele zakazanych przez Prusaków książek, do jego plebanji, a zmarły tak ją ukrył, że nie mogła być skonfiskowana. W 1910 r. ś. p. ks. Rogacki został przeniesiony do Torunia na probostwo przy św. Jakóbie. W lipcu 1918 r. zostaje powołany do Pelplina jako członek kapituły i radca generalnym wikaryjacie, na którym to stanowisku pozostał aż do końca życia, będąc przy tem przez szereg lat kaznodzieją katedralnym. W r. 1924 postawiony na czoło kapituły ze szczególną pieczołowitością zajął się utrzymaniem katedry pelplińskiej. Dzięki swemu bogatemu doświadczeniu oraz wiadomościom prawniczym, był cenną siłą w administracji diecezji. W uznaniu jego zasług Ojciec św. obdarzył go wysoką prałacką apostolską godnością prenotariusza z prawem noszenia infuły.

Pogrzeb odbył się w Pelplinie dn. 1 i 2 września. Kondukt żałobny prowadził J. E. Ks. Biskup dr. Okoniewski w asyście J. E. Ks. Ks. Biskupów Dominika i Dembka z Łomży. Requiescat in pace!

A. Markwicz.

Zjazd filomatów pomorskich. Dnia 14 czerwca 1932 r. odbył się w Chełmnie III-ci z rzędu zjazd filomatów Pomorza, połączony z walnym zebraniem „Związku filomatów pomorskich“, a poprzedzonym w przededniu towarzyskim wieczorkiem akademickim.

Zjazd sam rozpoczął się uroczystym nabożeństwem w kościele gimnazjalnym, jakie odprawił w wielkiej asyście ks. dziekan M. Karczyński z Łasina. Wzniosłe kazanie na temat „inteligencja a naród“, oparte na wypowiedzeniach Cicerona i chwili obecnej, wygłosił ks. prałat J. Wysiński z Torunia. Zjazd zaszczylił swoją obecnością wojewoda pomorski p. Kirtiklis.

Obrady odbyły się na auli gimnazjum klasycznego. Z gości filomackich należałoby wymienić: senjora chełmińskich filomatów ks. prałata W. Klatta w 82 wiośnie życia, ks. prob. Fr. Majkę, więźnia z procesu lubawskiego w 1907 r. o strejk szkolny; mec. P. Ossowskiego z Torunia, który jako pierwszy starosta chełmiński witał pierwszy zjazd filomacki. Z uczestników procesu toruńskiego byli obecni: ks. red. J. Dembiciński z Nowegomiasta n/D.; wicestarosta krajowy pomorski dr. Gąsowski z Torunia, ks. prob. M. Karczyński z Łasina; starosta L. Kowalski ze Świecia; pow. lek. wet. J. Maliszewski z Gniezna; red. A. Markwicz z Grudziądza; lek. dent. Nierzwicki z Chełmna; A. Woźniacki, adm. dóbr kraj. „Igły“ p. Chojnicami i ks. prob. Żelewski z Koronowa. Do księgi zjazdowej zapisało się 58 filomatów, z których 3-ch przypada na Koło brodnickie, tyleż na chojnickie, a po jednym na Świecie i Wejherowo, a na Koło chełmińskie 50. Tem się też tłumaczą uchwalone przeniesienie siedziby Związku z Torunia do Chełmna dla sprawniejszego urzędowania oraz wybór zarządu ściśle chełmińskiego.

Akademję zagał sekretarz Związku burm. Zawacki w imieniu wiceprezesa sędziego p. J. Karnowskiego z Chojnic, na którego to ręce prezes ks. kan. Makowski z Chojnic złożył w 1929 r. urząd powitalnym przemówieniem, oddając łaskę marszałkowską w ręce ks. dziekana Karczyńskiego, który poprosił do pióra p. T. Odrowskiego z Chełmna. Zyczenia złożyli zjazdowi: starosta chełmiński p. Biały imieniem powiatu, dyr. gimn. Frankiewicz im. kuratorjum szkoln. okr. pomorskiego, poseł Sacha im. „Syndykatu Dziennikarzy Pomorskich“, filomata red. Ciesielski im. „Pielgrzym“, im. Akad. Koła pom. stud. iur. Czarnowski, im. K. S. „Baltii“ jej prezes cand. iur. Kurowski, a K. S. Masovii“ stud. phil. Tomaszewski. Po odczytaniu nadesłanych licznych życzeń telegraficznych, wygłosił sędzia p. Pietrykowski z Torunia wspaniały odczyt o znaczeniu dotacji Mestvina dla Polski, za który zebranie dziękowało referentowi serdecznymi oklaskami. Na tle odczytu uchwalono rezolucję przeciw zachłannościom odwiecznego wroga, z ostrym protestem przeciw hitlerowskim knowaniom w W. M. Gdańsku. Oddaniem pośmiertnej czci zmarłym filomatom, a zwłaszcza skazańcom procesu toruńskiego, zakończyła się akademja.

Po wspólnym zdjęciu fotograficznym następuje walne zebranie „Związku filomatów pomorskich“. Sprawozdanie zarządu wygłasza sekr. p. Zawacki, omawiając w szczegółach sprawę zakupioną przez towarzystwo domu w Poznaniu, przeznaczonego na pomorską bursę akademicką. Z jego dochodów udzielono pomocy naukowej kilku młodym filomatom. Związek liczy 130 członków, z których zmarło w ostatnim pięcioleciu 9; w zjeździe uczestniczyło 28.

W skład nowego zarządu wybrano przez aklamację prezesem dr. Redigera Franc., dyr. gimn.; sekretarzem burm. Zawackiego, skarbnikiem Nierzwickiego, lek. dent. — wszystkich z Chełmna; zast. prezesa ks. prob. J. Ziemkowskiego z Papowa Biskupiego, również filomata chełmińskiego. Składkę miesięczną znizono bez wstępnego do 3 zł. Zjazd zakończył się wspólnym obiadem.

A. Markwicz.

Akademicka korporacja „Cassubia“ w Warszawie. Opozycja przeciw programowi reakcji anty - ceynowskiej z jednej strony, a polityce germanizacyjnej z drugiej strony, z jaką pod wpływem uświadczenia szczepowego i polskiego ruchu narodowego w Wielkopolsce wystąpiła garstka inteligencji kaszubskiej, grupującej się koło osoby

dr. Majkowskiego, z nieliczną, a rozproszoną po uniwersytetach niemieckich młodzieżą kaszubską, która na początku bieżącego stulecia znalazła swój wyraz w ruchu młodokaszubskim — w dwa dziesiątki lat później, stanowi pobudkę do zajęcia się swojszczyzną dla młodzieży kaszubskiej, studjującej już w polskich wyższych uczelniach, zwłaszcza w Warszawie.

Aczkolwiek znikoma tylko liczba studentów - Kaszubów znajduje się na stołecznym terenie akademickim — w przeciwieństwie do Poznania, skupiającego przecież w swych uczelniach większość kaszubskiej młodzieży studjującej — właśnie ta garstka, nie zwykłych zjadaczy chleba, pracujących jedynie dla uzyskania patentu, ale uświadomionych, o szerszym horyzoncie myślowym Kaszubów, rozwinęła sztandar gryfowy na gruncie warszawskim, zaprowadzając pierwszą pomorską organizację akademicką o tendencjach kaszubskich.

Najlepszą formą organizacji młodzieży akademickiej zdaje się być dzisiaj korporacja: obok pracy organizacyjnej, pielęgnuje uczucia przyjaźni i braterstwa; rody korporacyjne łączą na całe życie swych członków bardzo silnemi i serdecznemi węzłami. Z drugiej strony rodzina korporacyjna wymaga od swych członków służby i pracy dla narodu, poczucia dumy narodowej, wysokiego poziomu moralnego i poszanowania zasad etyki chrześcijańskiej; wyrabia poczucie godności osobistej i karności organizacyjnej.

Te względy mając na uwadze oraz fakt, że wśród przeszło stu korporacji, istniejących na terenie uczelni warszawskich nie było żadnej, która by reprezentowała najważniejszą dla Polski dzielnicę pomorską, pp. Bielawa Jan, Kossak - Głowczewski Roman, Kreft Karol, Perzyński Tomasz i Nowicki Brunon, założyli w r. 1927 korporację „Cassubia”. Pierwszym prezesem był najruchliwszy koło tej sprawy, główny inicjator, p. Karol Kreft (z Otomina, pow. kartuski); obecnie piastuje tę godność i z wielką gorliwością pełni związane z tem funkcje p. Roman Kossak - Głowczewski (z Brus).

„Cassubia” łączy wszystkie te jednostki, które rozumieją znaczenie Kaszub dla Polski i związane z tem zagadnienie morza naszego. To też do organizacji należą nie tylko Kaszubi, ale garnie się do niej i młodzież z innych dzielnic Polski tak, że korporacja liczy dzisiaj ca. 40 członków. Pociaszający to objaw, że synowie ziemi kaszubskiej, świadomi swych zadań i celów, potrafili dla idei kaszubskiej pozyskać dość znaczną liczbę pobratymców z innych ośrodków kraju, którzy tutaj mają najlepszą sposobność do poznania Kaszubów takimi, jakimi są w istocie.

Budząc poczucie szczerpowe swych ziomek, korporacja powoduje gruntowny przewrót w dotychczasowej pogardzie wszystkiego, co swojskie — z jednej strony, a z drugiej strony daje rodakom z dalszych stron Polski wierny obraz duszy i gleby zapomnianego szczerpu nadmorskiego, zbliżając go przez to do nich, a ich do siebie; wszystkich zaś członków przygotowuje do pracy na Pomorzu, która ich czeka po opuszczeniu murów uniwersytetu. Akcentując przedewszystkiem jak najściślejszą łączność zagadnienia morskiego z kwestją kaszubską, „Cassubia” w dużej mierze realizuje program Młodo - Kaszubów, urzeczywistnia ideę odrodzenia Kaszub i Wielkiego Pomorza w obrębie Mocarstwowej Polski.

To też korporacja „Cassubia”: Vivat! Crescat! Floreat in aeternum!

Wystawa Pomorskiej Szkoły Sztuk Pięknych z Grudziądza w Gdyni. Pod protektoratem p. wojewody pomorskiego urządzono w Gdyni od 3 lipca do 15 sierpnia b. r. wystawę Pom. Szkoły Sztuk Pięknych z Grudziądza, pozostającej pod kierownictwem p. Wacława Szczeblewskiego. Z pięknie wydane go ilustrowanego katalogu dowiadujemy się, że Pomorska Szkoła Sztuk Pięknych powstała w r. 1922 za inicjatywą ówczesnej Rady Pomorskiej z p. dr. Al. Majkowskim na czele. Zachęcona powodzeniem pierwszej wystawy artystów pomorskich w r. 1921, poparła chętnie zabiegi p. Szczeblewskiego o założenie szkoły artystycznej na Pomorzu. Szkoła ta utrzymała się dzięki popar-

ciu różnych czynników urzędowych i prywatnych, a przede wszystkim dzięki wysiłkom dzielnego kierownika aż po dziś dzień.

Wystawa wykazuje, że wysiłki te nie poszły na marne. Mimo to nie możemy się jakoś zgodzić ze wstępem do katalogu pióra p. Koźlika, zaliczającego eksponaty wystawy do kaszubskiej sztuki regionalnej.

Stworzenie sztuki regionalnej uważamy za konieczność kulturalną i z unaniem witamy wszelkie w tym kierunku usiłowania, stwierdzić jednak należy, że wystawione okazy nie odpowiadają zapowiedzi. Godzimy się z autorem na to, że dla wielu osób „jest regionalizm wogóle, a pomorski w szczególności zagadnieniem zbyt skomplikowanym i nieuchwytnym“. Niestety Pom. Szkoła Sztuk Pięknych także go jeszcze nie opanowała.

Ogólne wyniki Szkoły, jako prowincjonalnej, są piękne, ale duża regionu pomorskiego jeszcze się w nich nie przejawia. Dobre „wycinki“ z pejzażu pomorskiego nie stanowią jeszcze jego całości. To tylko fragmenty impresjonistyczne, niezłe jako prace uczniowskie z natury. W ten sposób nie powstanie jednak sztuka pomorska. O „pomorskości“ bowiem pewnego obrazu nie decyduje ten czy inny motyw, tylko sposób jego duchowego ujęcia. Zaś całkiem nie odpowiadają duszy naszego regionu projekty kilimów, chociaż techniczne ich wykonanie wykazuje rzetelną pracę i wysoki poziom Szkoły w dziedzinie nauki rysunkowej.

Cieszy nas, że dążenia Szkoły idą po linii kultywowania regionalizmu oraz kaszubszczyzny, jakkolwiek budzi się w nas mimowolnie wątpliwość co do ich szczerości. Mamy wrażenie, że chodziło w tym wypadku o zaktualizowanie wystawy hasłem kaszubszczyzny.

Zapewniamy wkońcu, że z całą życzliwością, na jaką stać powinno pismo, poświęcone regionalizmowi kaszubsko - pomorskiemu, śledzić będziemy dalszy rozwój Szkoły. Zgodni też jesteśmy z nią w tem, że nie należy się zrażać trudnościami, wynikającymi z braku należytego poparcia ze strony czynników miarodajnych. B.

Wielki zjazd rodaków i działaczy plebiscytowych z Warmji, Mazur i ziemi malborskiej odbył się dnia 17 lipca b. r. w Tczewie, połączonej z wielką manifestacją narodową i akademją.

W Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku wygłosił dnia 6-go września b. r. p. radca **Bernard Zipper** odczyt n. t. **Zródła siły morza Bałtyckiego** (wyjątek z rozprawy o zagadnieniu bałtyckiem).

W lecie b. r. bawił w Borach Tucholskich sędziwy nasz i głośny malarz, profesor **Leon Wyczółkowski**. Wynikiem jego pobytu w rezerwacie cisów jest cały szereg nowych szkiców. Nadmienić też należy, że poprzednie kartony prof. Wyczółkowskiego o tym samym temacie wzbogaciły wystawę malarską w Wenecji.

Przerwanie wydawnictwa. Zarząd Spółdzielni donosi wszystkim Szanownym Zwolennikom naszym, że z powodu trudności finansowych przerwano na rok 1932 - 33 druk miesięcznika ludowego „Gryfa Kaszubskiego“. Dwa ostatnie zeszyty dodajemy do obecnego numeru „Gryfa“.

Ażeby jednak Czytelnicy nasi nie byli poszkodowani, „Gryf“ zawierać będzie nowy dodatek.

Książki i czasopiśma



Charakterystyka Kaszubów według dziełka K. Pernina z r. 1886.

Z pośród przedwojennych dzieł niemieckich o Pomorzu, zasługuje na większą uwagę książka Karola Pernina p. t.: „Wanderungen durch die sogenannte Kassubei und die Tuchler Haide“¹⁾. Autorem jej jest Niemiec, który za czasów pruskich przez szereg lat był urzędnikiem w powiecie kartuskim i dość często urządzał wycieczki po ziemi Kaszubskiej, by poznać kraj i ludzi. Pięknem Kaszub zachwycał się do tego stopnia, że postanowił przez wydanie książki o Pomorzu zwrócić uwagę na urok tej przez Niemców po macoszemu traktowanej ziemi, która według jego zdania bynajmniej nie zasługuje na to, by była uważana za kopciuszką między prowincjami niemieckiej ojczyzny. (das es nicht das Achenbrödel bleibe unter seinen schönen Schwestern im deutschen Vaterlande).

Opisawszy szczegółowo krajobraz pomorski, autor daje w III części dziełka wyczerpującą charakterystykę ludności Pomorza. Jako Niemiec cieszy się, że statystyka wykazuje od r. 1819 stały przyrost ludności niemieckiej w tej dzielnicy i podaje, że według spisu ludności z 1. 12. 1885 r. mieszkało w Prusach Zachodnich 936.000 Niemców i około 470.000 Polaków, wzgl. Do ostatnich zalicza Kaszubów, którzy według jego zdania stanowią większą połowę wspomnianej ilości Słowian. Zagadnieniu kaszubskiemu poświęca dużo uwagi; rozważa też stosunek, zwłaszcza pod względem językowym, religijnym i obyczajowym. Niemiec — pisze — od biedy zrozumie Kaszubę, zaś Kaszuba nie chce Niemca zrozumieć, kierując się swą sztucznie podtrzymywaną antypatią religijną i narodową. Wypadki łączenia się Polaków, wzgl. Kaszubów z Niemcami, są rzadkie. Niemiec choć najbiedniejszy, patrzy zawsze z pewnym politowaniem na Kaszubę, uważając go za coś niższego od siebie. Kaszuba zaś odplaca się za to Niemcowi nieufnością i unika go. Więcej sympatii czuje Kaszuba dla Polaka, lecz nie ze względów narodowych, a jedynie z powodu przynależności do tej samej religii i dla pokrewieństwa języków. Różnica między językiem polskim a kaszubskim jest ta sama, jaka zachodzi między niemieckim językiem literackim, a językiem ludowym. (Plattdeutsch). Polacy zaś patrzą na Kaszubów jeszcze z większym lekceważeniem aniżeli Niemcy, uważając się natomiast za prawnych pretendentów do ziemi Kaszubskiej, która dawniej wchodziła w skład państwa polskiego. Niedobitki polsko - kaszubskiej szlachty oraz większa część duchowieństwa na Kaszubach, skłaniają się wyraźnie do polskości. Książa polonizują Kaszubów, którzy narodowość identyfikują z religją.

¹⁾ Cały tytuł dziełka brzmi: „Wanderungen durch die sogenannte Kassubei und die Tuchler Haide als Beiträge zur Landeskenntnis gewidmet seinen westpreussischen Landsleuten, den Turnern und allen Freunden der Natur“ von Karl Pernin, Danzig. Verlag A. - W. Kafemann, 1886, str. 208.

(Egzemplarz Książnicy Miejskiej im. Kopernika w Toruniu).

Przytoczywszy zdanie historyka Tomasza Kanzowa o Kaszubah i ich pochodzeniu, Pernin zastanawia się nad różnicą, jaka zachodzi między Kaszubahami a Polakami. Mimo pokrewieństwa języka — wywodzi — Kaszubi nie mają żadnych cech polskich. Spotyka się u nich zazwyczaj włos i oczy niebieskie i krępa budowę ciała. Są leniwi i ograniczeni. Brak im zupełnie polotu poetyckiego i poczucia narodowego — w przeciwieństwie do Polaków, których cechuje pewna ruchliwość umysłu, fantazja, rycerskość i duma narodowa.

Polacy — pisze dalej Pernin — byli przez 300 lat panami na Kaszubah, a mieszkańców tej ziemi traktowali jako niewolników, wobec czego mimo wspólnego pochodzenia słowiańskiego i równości religijnej, nie nastąpiło zlanie się obu narodowości. Powyższy stosunek zależności Kaszubów od Polaków tłumaczy też niski poziom kulturalny ludności kaszubskiej za czasów polskich. Rząd pruski, szanując (?) właściwości narodowe i uczucia religijne ludności w Prusach Zachodnich, stara się przez uporządkowaną administrację, dobrze zorganizowany wymiar sprawiedliwości oraz przez szkołę powszechną podnieść poziom kulturalny Kaszubów, by odrobić wszelkie polskie zaniedbania pod względem kultury i oświaty. Aby dojść do zamierzonego celu, tłumaczy Pernin, są często konieczne energiczne zarządzenia, przeciwstawiające się wszelkim wrogim dążeniom, paraliżującym akcję pruską.

W dalszym ciągu swych wywodów Pernin podnosi zbawienny wpływ służby wojskowej na Kaszubah, którzy są dumni z tego, że mogą być żołnierzami i mieć udział w chwale armji pruskiej.

Kontynuując swe spostrzeżenia na temat charakteru Kaszubów, dowodzi, że ludność Kaszub odnosi się do wszystkiego, co niemieckie, z nieufnością i pewną obawą. Grzeszy brakiem zamiłowania do prawdy, co znów jest cechą wszystkich Słowian. Trwa zaś uparcie przy starych zwyczajach i nie jest w stanie zrozumieć korzyści nowych wynalazków, zwłaszcza o ile one są połączone z pewnymi wydatkami pieniężnymi. Kaszubi są naogół oszczędni, nawet chciwi, jednak nie gospodarni. Niechętnie płacą podatki, choć chcieliby korzystać z wszelkich uprzedzeń obywatelskich. Nie rozumieją też konieczności państwowych. Ich zmysł społeczny jest mało rozwinięty. Jedynie w sprawach religijnych okazują posłuszeństwo i są zdolni do ofiar. Wstrzymują się od używania alkoholu, lecz nie dlatego, że alkohol szkodzi zdrowiu, lecz dlatego, że Kościół ostro zakazuje nadużywania trunków. Jednak nie zawsze są posłuszni nakazom religijnym. Często dla uzyskania minimalnej korzyści majątkowej dopuszczają się krzywoprzysięstwa. Obok braku zamiłowania do prawdy i szczerości, spotyka się u nich pewną bezwstydną zuchwałość. Nie są jednak skłonni do czynów gwałtownych, bądź to z wrodzonej dobroduszości, bądź też z braku odwagi, która jest potrzebna nawet do zbrodni.

Nie grzeszą też Kaszubi — według zdania Pernina — zbytnią gościnnością, która znów jest zaletą Polaków. Gdy natomiast widzą swój zysk, lub gdy się obawiają, że grozi im szkoda materialna, wówczas umieją być usługowymi i niewolniczo uległymi. Można ich sobie pozyskać przez jaką taką uprzejmość, a przedewszystkiem przez znajomość kilku słów ich języka, zaś kobiety i dzieci przez małe datki pieniężne. Autorowi podobają się dziewczęta kaszubskie, gdyż pisze o nich: Podczas wesolego śmiechu dziewcząt kaszubskich przybysz może podziwiać ich śnieżno - białe zęby, których biednej Kaszubce może pozazdrościć niejedna dama z miasta. Rumieńce na twarzy świadczą o czerstwym zdrowiu tych wiejskich dziewcząt o bosych nogach, noszących grube koszule płócienne i pstre suknie. Jednak czystość tych piękności wiejskich jest wątpliwa, gdy mydło i grzebień należą u nich jeszcze do antyków luksusowych.

Kaszuba, jak twierdzi Pernin, nie umie wyrazić swej wdzięczności po salonowemu (podziękowanie wyraża przez objęcie kolan dobroczyńcy), lecz kto umie czytać w jego obliczu, ten zrozumie, że za wszelkie wyświadczone mu dobrodziejstwa jest wdzięczny, choć przyjmuje je z pewnym niedowierzaniem. Niespodziewa się bowiem, by ktoś odnosił się do niego z sympatją lub życzliwie. Umie jednak ocenić

dobrodziejstwa sprawiedliwej i uregulowanej administracji pruskiej i bynajmniej nie tęskni za powrotem rządów polskiej szlachty i starostów. Energiczne i w swych dążeniach konsekwentne, a przytem niesprzedajne urzędy pruskie onieśmielają Kaszubę w pewnym stopniu do urzędników, mimo, że ci działają rozumnnie i rzeczowo.

Powracając do stosunku Kaszubów do religji, Pernin zauważa, że są oni religijni, choć nie posiadają owej wewnętrznej świadomości moralnej, która zazwyczaj cechuje człowieka religijnego. Jako ludzie natury są bogobojni i z szacunkiem odnoszą się do Boga, którego jednak w swej ograniczoności raczej odczuwają, aniżeli rozumieją. Religja jest dla nich jedyną poezją. Ksiądz, który jako tłumacz ich potrzeb religijnych w kościele, zstępuje do nich, przemawiając w ich języku ojczystym, posiada ogromny wpływ na duszę kaszubską. Innej poezji nie znają. Dla wytworzenia bowiem poezji świeckiej brakowały im odpowiednie warunki, t. j. wolność ducha i poczucie narodowe. Nie posiadają też własnej literatury, co jest znów wyprzedkiem ich ociężałości duchowej i obojętności wobec zagadnień idealnych. Ożywiają ich jedynie sprawy materialne, które m. i. prowadzą ich do pieniactwa (n. p. procesy graniczne).

Pernin kończąc swe wywody na temat ludności kaszubskiej, podnosi, że Kaszubi nie trzeba dużo do życia i dlatego też, o ile chodzi o wygodę domową i warunki bytu, nie stara on się o zmianę swego prymitywnego sposobu życia. W niejednych zapadłych wioskach i pustkowiach spotyka się dziś jeszcze stosunki, które równają się tym, jakie opisuje Gustaw Freytag w swych „*Bilder aus der deutschen Vergangenheit*“.

Charakterystyka ludności kaszubskiej, podana nam przez Pernina, nie we wszystkim jest trafna i sprawiedliwa. Jeżeli jednak weźmiemy ją pod uwagę, że pisał ją Niemiec, obcy nam duchem i narodowością, a widzący w Kaszubi jedynie poddanego państwa pruskiego, nieuznającego dobrodziejstw kultury niemieckiej, wówczas zrozumniemy pobudki, jakie nim kierowały przy opisie ziemi i ludności kaszubskiej.

Tadeusz Pietrykowski.

Tadeusz Seweryn. Technika malowania ludowych obrazów na szkle. „Lud”, serja II, tom X, zeszyt III — IV, Lwów.

W obszernem i systematycznie opracowanym studjum zajmuje się p. S. techniką obrazów malowanych na szkle, rozpowszechnionych między innymi także u nas, na Kaszubach. Pracę tę należy powitać z wielkim uznaniem, gdyż daje miłośnikom i kolekcjonerom zabytków ludowych doskonały materiał porównawczy, zaś tych wszystkich, którzy lekceważąco się odnoszą do tej gałęzi twórczości ludowej, przekonac zdola o jej istotnej wartości.

My ze swej strony musimy jeszcze z uznaniem zaznaczyć, że autor uwzględnił w równej mierze zabytki z naszych stron, co nie jest zaletą wszystkich badaczy, szczególnie w dziedzinie sztuki. B.

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska). **Polska w pieśni: Wyszmir.** Opowieść czarodziejska 690 — 698 r. Warszawa, 1860.

Zapomniany ten poemat warto dzisiejszemu na morze patrzącemu pokoleniu przypomnieć, choćby tylko ze względu na treść, bo książka dawno już wyczerpana i dla ogółu zupełnie niedostępna.

Jadwiga Łuszczewska, ur. 1835 r., cieszyła się niegdyś w kołach wykształconych wielką wziętością z powodu swych improwizacji. Ogólnie znane były jej „Branki w jasyrze”, a u nas nad morzem cieszyła się wielką popularnością mała gdańska powieść rycerska „Panienska z okienka”.

Poezja Ł. nie tryska życiem, jest owocem rodzinnej tradycji literackiej i wykształcenia, jest salonowa.

Z poematów „Sobieski pod Wiedniem” ma piękne obrazy i pyszny wiersz, ale świadczy zarazem o braku głębszego natchnienia poetyckiego u autorki. Wszak to epigonka romantyzmu.

To samo mniej więcej powiedzieć można o „Wyszmirze”. Wy-

czuwa się studja poetki, upodobanie w morzu, ale nie porywa. Wszakże wdzięczność jej się należy za szczere oddanie się podówczas bardzo nieaktualnemu tematowi.

Całość poematu podzielono na 4 pieśni: 1) Rybak; 2) Cudowny żagiel; 3) Księżę morza; 4) Świat podwodny.

I.

Młody rybak z nad Wisły doznaje tego szczęścia, że do niego zapalała miłością bogini Wisława w chwili, gdy wyszła z wody, by go ukarać za zbytne spustoszenie, które czynił siecią w jej królestwie ryb. Ale i młody rybak żyć bez niej nie może. Spotykają się więc często na brzegu wód. Rybak zaprzestaje swego rzemiosła, a ludzie czynią go podejrzewać o czary. Wisława również zmienia się, rządząc odtańd statecznie, bez kaprysów. Młodzian tak jest rozpalony, że pragnie w świecie bogów połączyć się z Wisławą. Bogini wstrzymuje go od daremnej śnierci, bo wszak nie dorósł do nieśmiertelności bogów. Musi się wpierw unieśmiertelnić. To zaś może uczynić, gdy uratuje ojczyznę z niebezpieczeństwa. Oto zamorski wróg najechał kraje słowiańskie. Niechże idzie do Lechitów nad jezioro Gopło, ona mu dopomóż, że go obiorą księciem i naczelnym wodzem wyprawy na Duńczyka.

Doszło mię łkanie kaszubskich strumieni,
I ojciec Bałtyk przyszedł oburzony
Do żółtej bramy, która nas rozdziela,
I rzekł mi: „Trzeba Lechitom mściciela“.

Rybak i Wisława z czułością się rozstają. Rybak idzie nad Gopło, otrzymawszy od Wisławy w darze cudowny żagiel, który go chronić będzie od ran i śmierci, jeśli go nie opuści i wierzyć weń będzie silnie.

II.

Rybak na drodze za bursztyn kupuje księżęcą odzież i zbroje i tak staje przed Lechitami pod Gnieznem. W pierwszej chwili mu nie wierzą, że nadejść może wróg północy, ale kiedy prawdziwy pokazuje znak Boży, uspokoiwszy na swej łodzi do głębi wzburzone Gopło, obiecają go w świętym bugaju księciem po zmarłym Lechu, a nazywają go Wyższym miрем, bo sam tak zapowiada:

„Ja memu ludowi mir dam na ziemi i mir dam na wodzie“. Lechici wyruszają, zebrawszy statki i nowe pobudowawszy, wodą ku północy. Na czele staje Wyszymir, po nim Krakus, Lesław, Stójgniew, Ścibor i cały szereg innych wodzów z wierną drużyną. Na przedzie posuwa się okręt „Wisława“, w nim płyną dowódcy. Na widok morza zabrzmięwa śpiew bohaterów. Król duński, Syward, stoi z swą flotą w pobliżu w zatoce, biesiaduje na okręcie wśród przepychu i bogactwa, otoczony świtą, a przy nim stoi zdradliwy syn Jarmeryk. Jest tam też drużyna wikingów. Stójgniew i Lesław idą w przebraniu rybackim na zwiady, przywożą też jeńca Gunnaba, którego Wyszymir wspaniałomyślnie odsyła wraz z posłami królowi Sywardowi. Chwalono wspaniałomyślność Lachów i zapowiedziano na jutro bitwę. I oto w pierwszej fazie bitwy Lachy zwyciężają, flota duńska w popłochu, największy ich rycerz, Harald, pokonany. „Wtedy Wyszymir rozpina od Heli do Góry Orlów łańcuch swoich łodzi i tym łańcuchem wyjście im zamyka“. Losy bitwy się zmieniają. Kiedy Krakus z chorągwią wskakuje na okręt króla, nagłym zwrotem okrętu zostaje od swoich odcięty, a Wyszymir opuściwszy statek, bieży przyjacielowi na pomoc. Tam zostaje obkoczony i raniony. Lechici tracą wodza i pierzchają, Bałtyk się wzburza nagle, duńska flota wychodzi z pułapki i ściga uciekające statki lechickie. Jarmeryk, który pierwszy uciekł z pola bitwy, teraz odważa się na czyn szalony. Podjeżdża ku laskim okrętom, zapala jedno z czóten i zahacza o okręt Wyszymira, którego rannego już odratowano. Chwila krytyczna. Na rozkaz Wyszymira wyrębuje się tę część okrętu, w której hak utkwil z płonącym czołnem i to przynosi ratunek. Płonąca łódka dostaje się w okrąg floty duńskiej i ją zapala. Wówczas jeńiec duński, Bogusław, na czele zbuntowanych słowiańskich niewolników „zabitym Dunom odpasuje miecze“ na stronę

lacką przepływa. Kto może z Duńczyków, ratuje się, sam ich król łamie się pod upiornym widzeniem Heli, bogini śmierci, która mu zapowiada, że jeśli nie zaniecha zaborczych wojen, zginie. Po zwycięstwie zjawia się z wyrzutami Wisława, przynosząc Wyszymirowi kojące zioła. Wyszymir dnia następnego przyjmuje posłów Sywarda i dyktuje mu warunki pokoju. Wspaniałomyślnie proponuje:

„Niech każdy rządzi tylko swoim krajem
I przyjaźń sobie przysięgają wzajem“.

Duńczycy opuścić muszą ziemię słowiańską, za grabieże płacić będą daniny. Następują zakłęcia, zakładnikiem u Duńczyków zostaje Krakus, u Lechitów Jarmeryk. Wyszymir wyprawia następnie na flocie i na wybrzeżu zwycięskie wspaniałe uroczystości, a tłum rybaków i rybaczek nie może się dość nasławić wielkiego księcia morza. Zaś na pamiątkę tak wielkiego triumfu zakłada Wyszymir miasto Duńsk (Gdańsk), jako że w tem miejscu pobił Duńczyków.

III.

Przez dwa lata był spokój, już dwie daniny Duńczycy spłacili. Wyszymir naprawiał spustoszone zamki, goił rany, rozbudowywał Duńsk, budował flotę potężną. Zdawał się zbliżać czas szczęścia dla Lachów. Tymczasem Jarmeryk uciekł z niewoli, skłonił ojca do zerwania układów i przysłał pomoc księcia norweskiego, przyszłego męża swej siostry. Narada u Wyszymira orzekła:

„Płynmy do Danji... Odbić Krakusa i ukarać zdracę“.

Wyszymir żegna się z Wisława, upomniany przez nią, żeby był wierny, i na czele floty odpływa. Król Styward zapomniał o groźbie Heli i przygotował nową zaczepną wojnę pod wpływem syna Jarmeryka. Zostawił brata Butłę (Butlo) w zastępstwie swoim w Danji, Gunnaba wysłał morzem na spotkanie Wyszymira, sam idzie lądem zdobywać ziemię lechicką.

Płynie Wyszymir i uwalnia zachodnio - słowiańskie plemiona od niewoli Duńczyków i dociera do Rugji. Wszędzie sławia go Niemcy, Duńczycy, Szwedzi i Norwegowie jako wielkiego i szlachetnego księcia morza. Gunnab na morzu zostaje w puch rozbity, Wyszymir płynie za nim i ląduje w ciszy wpobliżu wojsk Sywarda. O świcie rozpoczyna się bitwa. Wyszymir dowodzi z jednego wzgórza, Syward przygląda się z drugiego. Bitwa toczy się w wąwozie. Pierwszym mężem po stronie duńskiej chce być Jarmeryk, i już szala zwycięstwa chyli się ku Danji, gdy Wyszymir z resztą drużyny wpada w wir walczących i zadaje Danom klęskę. Pada Syward, ginie Gunnab, zostaje ranny Jarmeryk i z resztą niedobitków zmyka.

I znów, jak dawniej Duńsk, teraz na pamiątkę pogromu Duńczyków powstaje „Wizmar“, od zwycięzcy Wyszymira tak nazwany.

Teraz na Danję odbić Krakusa. Tam Butlo zagarnął władzę, ogłosił się królem, zanim dowiedział się o pogromie Sywarda. Wpadają Lachy z trzech stron i niebawem prócz stolicy Danja zostaje zdobyta. Tam w stolicy Leirze, zamyka się Butlo wraz z Krakusem i córką Sywarda. Lechici zdobywają twierdzę mimo czarów królowej Hildy. Ta widząc, że Wyszymir zdobywa miasto, przysięga mu zemstę i śmierć. Butlo ucieka podziemnymi ganki. Krakusa odnaleziono, zaś Wyszymir ogłasza wsiom i miastom słowo pojednania. Zwołuje Wyszymir swoich rycerzy na wiec i ogłasza swoją wolę, jak zamierza panować w Danji, ale rycerze podnoszą bunt, nie chcą płamić rąk gnębieniem obcych narodów. Godzi się na tę uchwałę Wyszymir, zaleca tylko aż do czasu zachować uchwałę w tajemnicy, aż do chwili, gdy się przywoła Jarmeryka i jemu odda władzę królewską. Trzeciego dnia po wzięciu stolicy Wyszymir odwiedza królową, ale ponieważ ta wita go uśmiechem i wdziękiem, pomimo przysięgi miłosnej zniechęca się do niej, za co ona tem większą do niego pała nienawiścią. Idzie Hilda w podróż czarnoksiężką do bogów przedproża po zębne czary. Poznajemy tu cały niemal świat bogów północnych. I gdy pewnego dnia Wyszymir odwiedza ją, przynosząc słowa uwolnienia i wieść o tem, że księżę norweski wykupuje ją dla siebie, Hilda dymiące rzuca na niego czary, że zaczyna pałac ku niej niewymowną, a smutną i nieszczęśliwą

miłością. Odtąd walczy napróżno z czarem, tęskni ku niej ciągle, nieszczęśliwy jest w jej obecności i nieszczęśliwy bez niej. Ale i niespodziewanie Hildę ogarnia płomień miłości ku Wyszymirowi — płomień prawdziwy.

Chce wreszcie oprytomniony Wyszymir zerwać pęta czarownej miłości, prosi Hildę o to, a ta mu przyrzeka, ale równocześnie obmyśla straszliwy koniec. Oto przygotowuje wielką ucztę pożegnalną całej rycerstwo lackie. O miłości Wyszymira Bałtyk donosi Wisławie, która pragnie śmierci niewiernego kochanka.

IV.

Na wodzie przy samym brzegu postawia Hilda piękny okręt, zamaskowawszy go tak zręcznie, że uchodzić może za piękne wzgórze nadbrzeżne. Tam zwabia Wyszymira i kiedy rycerstwo podochocone bawi się i wiwatuje, podaje mu puhar z trucizną, ale mu go zaraz wytrąca, kiedy Wyszymir ogłasza jej wolność Danji. Teraz pragnie go rzeczywiście na męża i króla. Wyszymir odmawia. W tej chwili zjawia się groźny Bałtyk, wzniesia burzę straszliwą, a z nim zjawia się groźniejsza jeszcze Wisława. Zrozpaczony Wyszymir tłumaczy się, a nie mogąc jej przekonać, rzuca się w wir morza i tonie. Tonącą Hildę odratowano, lecz pozostaje od tej chwili z niej tylko cień. Nic jej nie cieszy, ani posłowie norwescy, ani Lachy. A kiedy posłowie norwescy odwożą ją do księcia swego, w drodze, patrząc na morze, umiera.

Po Wyszymirze nie znaleziono nawet zwłok. Przybywa Jarmeryk. Ogłasza wolność Danji. Na Wyszymira konającego w topieli spogląda rozgniewana Wisława. Ale zaledwie skołał, serce się w niej budzi i w czole jego składa pocałunek miłości. Teraz wie, że był niewinny. I wstał Wyszymir, ale jako duch. Teraz wspólnie odwiedzają ojca Bałtyka, a następnie wiedzie go Wisława w swoje podwoje, sprasza bogów wszystkich rzek słowiańskich i wyprawia ucztę weselną. Zazdrości bogowie nie chcą go uznać równym sobie, oburzeni patrzą na młodego wybrańca, śmiertelnika, ale kiedy Wisława pieśnią pochryza Wyszymira sławić i jego czyny, obwołują go nieśmiertelnym, a

„Wszystkie boginie rękę mu podały,
Chociaż się nieco zdawały smutnemi“.

Po uczcie weselnej następuje ślub w podwodnej świątyni, zółta brama się rozwiera (Hel), wychodzi z niej Bałtyk i błogosławiąc łączących na wieczne czasy „i od tej chwili duch Wyszymira stał się monarchą Wisły“.

Pommersche Heimatpflege. Ukazał się 4 zeszyt (styczeń 1932 r.) tego niemiecko - pomorskiego kwartalnika, zamykający drugi rocznik. Zeszyt ten mieści artykuły, poświęcone uniwersytetowi w Gryfji z okazji 475-ej rocznicy istnienia tej najstarszej uczelni wyższej w państwie pruskim. W dziale kronikarskim zdaje prof. Kunkel sprawę z posiedzeń Drugiego Kongresu Archeologów Bałtyckich w Rydze, gdzie z polskich uczonych referowali prof. J. Kostrzewski z Poznania, pp. K. Jażdżewski oraz T. Waga z Poznania, prof. Jakimowicz z Warszawy i p. J. Dylk. Sprawozdawca z uznaniem wyraża się o działalności naszych archeologów.

Mikołaj Rudnicki. Śpiewy lechickie. Marzenie i rzeczywistość. Poznań i Warszawa (1932). Czcionkami druk. Uniw. Pozn. m. 8^o, str. 80.

Znany i zasłużony językoznawca Uniwersytetu Poznańskiego, prof. Mikołaj Rudnicki, poświęca wolne swe chwile muzeum poetyckiej. Tym razem ogłosił w I części powyższego zbiorku kilka poezji, wysnutych głównie z ulubionej swojej dziedziny stądów zachodnio-słowiańskich („Poznań, W grudniu 1918“, „Jezioro Łeba“, „Na biegun“, „Gero“, „Pielgrzym“, „Wrocław, Lubusz, Szczecin i Kołobrzeg“, „Nawroty“, „Warta i Wisła“, „Radca Gehrswied i jego syn“).

Wśród wierszy wszędzie niemal przewija się myśl, że przecież ci nasi najzaciejsi wrogowie pruscy to zgermanizowani Słowianie, którym stale przypominać należy ich pochodzenie. W nich samych bowiem budzi się niekiedy świadomość ta samorzutnie, w duszy budząc zachwyty, albo gorycz i ból (por. Radca Gehrswied i jego syn). Z wierszy bije niejednokrotnie wiara („Nawroty“), że kiedyś przecie przejrzą ci odurzeni bracia nasi i przyznają się do swoich ojców i pra-ojców z wielkiego plemienia lechickiego.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADEŚLANE DO REDAKCJI

- Teatr Ludowy**, miesięcznik organizacyj teatrów ludowych w Polsce, rocznik XXIV 1932, nr. 6, 7, 8.
- Słowo Częstochowskie** 1932 r., nr. 132, 138, 140, 142, 155, 156, 158, 165—8, 175, 176, 180, 186, 196, 201.
- Zapiski Towarzystwa Naukowego w Toruniu** t. VIII za I — IV kwartał 1931 r., nr. 9 — 12.
- Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu** 6, 38. r. 1932. Ks. Antoni Liedtke. Walka księcia Jana Opolskiego „Kropidły” z Krzyżakami w obronie majątkowych praw diecezji wrocławskiej.
- Fontes XXV**. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, 1931. Liber mortuorum monasterii Coronoviensis O. cist. edidit Alfonsus Mańkowski.
- Strażnica Zachodnia** (dwutygodnik), Poznań 1932, nr. 9 — 10, 11 — 16.
- Slovansy Przehled**, rocznik XXIV, nr. 6 z czerwca.
- Z Otcłani Wieków**, Poznań, rocznik VII 1932, z. 2 — 3.
- Zaranie Śląskie**, Cieszyn, rok VIII 1932, zeszyt 2.
- Mestwin**, dod. naukowo - literacki Słowa Pomorskiego, Toruń, rok 7, nr. 9 z 6. 7. 1932 r.
- Ziemia Wschodnio - Pruska**, Toruń, rok IV 1932, z. VI, VII.
- Wici Wielkopolskie**, czerwiec 1932, rok II nr. 6.
- Plebiscyt na Warmji**, Mazurach i ziemi malborskiej, Toruń 1930.
- Kronika miasta Poznania**, rocznik X 1932, nr. 2/3.
- MARKWICZ ALEKSANDER. **Filomaci** (1816 — 1826), cz. I. Wilno — Wielkopolska.
- Roczniki Historyczne**, organ Tow. Miłośników Historji w Poznaniu, roczn. VIII zeszyt 1.

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

Wszystkich naszych Szanownych Prenumeratorów zalegających z przedpłatą za rok 1931/32, prosimy uprzejmie o rychłe wpłacenie należnej kwoty na nasze konto w P. K. O. 200.431, gdyż zaleganie z prenumeratą przysparza nam wiele trudności finansowych.

Równocześnie zapraszamy do przedpłaty na rok dziesiąty naszego wydawnictwa, prosząc także o łaskawe zjednywanie nam nowych zwolenników.

GRYF KASZUBSKI



PISMO DLA LUDU POMORSKIEGO

Nr. 11.

Kartuzy, w sierpniu 1932 r.

Rok I.

W odmętach zawiści.

Wśród wielu wad naszego społeczeństwa na pierwsze miejsce wysuwa się zawiść jednej dzielnicy do drugiej. A przecież każdy z nas jest synem jednej Matki-Polski, czy to Kaszuba z nad Bałtyku, czy to obywatel z byłej Kongresówki czy też, jak się często słyszy, „wybrańiec narodu“ z Małopolski.

My, Kaszubi, pomni swoich bohaterskich czynów w walce o odzyskanie Niepodległości Polski, dumni być powinniśmy, że złożona w ofierze na ołtarzu polskim krew synów kaszubskich nie splamiła naszego honoru i wysiłki, czynione dla przyłączenia krwią synów kaszubskich zbrczonej ziemi do Polski, nie poszły na marne — nie padły na grunt skalisty. Przeciwnie, wydały plon stokrotny ku chwale ojczyzny i przyszłych pokoleń. Dlatego też my Kaszubi powinniśmy pierwsi kroczyć do u-pragnionej zgody i jedności, trzymając kureczowo w ręku gałązkę oliwną, ten symbol pokoju, to berło miłości i szacunku dla braci Polaków. Gdy to nastąpi, wówczas zwycięży rozsądny i trzeźwy duch kaszubski nad porywczoscią, i triumfalnym pochodem wejdziemy w krainę braterstwa ludów, w tę, za którą nasi ojcowie wzdychali.

Warunku tego dotychczas nie spełniono. Brak miłości i zaufania, lekkomyślne traktowanie dobra sprawy w dużej mierze utrudnia zbliżenie i życie się naszego narodu. Każda z byłych dzielnic uważa siebie za owego „wybrańca“, który przodować powinien w sterowaniu ło-

dział państwową. Stąd ciągle narzekania na tych, których języka się nie zna dostatecznie, lub na tych, którzy przechodzą i szczytą się wyższością kulturalną, a na każdym kroku okazują swą dumę, że mówią czystym językiem polskim, a swoich współbraci Kaszubów uważają za coś pośredniego pomiędzy wrogiem a przyjacielem. Tem się tłumaczy ogólne zniechęcenie, kończące się brakiem lojalności względem równych sobie współobywateli.

Są to rzeczy może o wartości minimalnej, lecz swą złością stopniowo zatruwają myśl i życie, początkowo jednostkom, a następnie całemu ludowi. Za tem idzie brak wiary w własne siły, osłabiające żywotność ludu. Do ostateczności jednak dojść nie może, bo my Kaszubi jesteśmy jakoby murem polskim, o który w przyszłości sąsiedzi głowy rozbijać będą. Hołdujemy hasłu: „Zgoda buduje, a niezgoda rujnuje“, a przekonamy się, że nikt nam z tego zarzutu nie zrobi, że będąc dziećmi wielkiej Polski, mówimy po kaszubsku, że mamy własny, lokalny sposób życia.

Doskonale pamiętamy, jak to za dawnych czasów, gdy narodowi polskiemu tchu zabrakło do dalszej egzystencji, do torowania sobie drogi wśród spisków i zrad, zazdrości i dumy poszczególnych warstw narodu, jak zawrotnem tempem toczyło się szczęście Polski ku przepaści. To widząc inne narody, bacznie okiem śledziły nasze wstrząsy i czekały z niecierpliwością na dojrzewanie upadku. Każdy najmniejszy odruch niezgody, przyspieszający upadek narodu polskiego, poruszał naczulsze nerwy wrogów, czyhających jak żarłoczne sępy na swoją upatrzoną zdobycz. Samiśmy im wrota swojemi intrygami i niesnaskami otworzyli, poczem przyszli i przykuli nas do swojego jarzma, pod którego ciężarem się uginał lud Bogu ducha winien. Tak zazdrość zaprowadziła nas na tułaczkę, na niedolę...

Dziś, gdy wszystkie dzielnice spojone zostały w jedną nierozzerwalną całość i Polska niemi oddycha jak odrodzonymi płucami, zginąć powinny owe spory, dzielące nas od siebie, a wspólna wiara w lepszą przyszłość zapewni byt nam i przyszłym naszym pokoleniom.

Więc, bracia Kaszubi! Nie zważajmy na prowokujące nas swą pychę kulturalną jednostki, przybywające

z głębi kraju do nas jako do ludu, stojącego w ich mniemaniu na ostatnim stopniu kultury! Wykażmy swoim pogodnym zachowaniem się, że jednostki te są w błędzie, że nie do wrogów przychodzą, lecz do swoich braci Kaszubów-Polaków, ściskających serdecznie ich dłoń braterską.

Jan Bilot, Kaszuba.

Jan Patock.

Dzień świętego Jana na Kaszubach.

(Dokończenie).

Pewien stary Kaszuba opowiadał mi następującą baśń o tym „korzonku“. „Żył niegdyś przed laty ubogi robotnik leśny. Wracał jak zwykle późnym wieczorem od swojej ciężkiej pracy, a miał jej jeszcze dużo w domu, gdyż posiadał krowę, którą musiał nakarmić. Tak i pewnego wieczora wszedł do obórki, lecz o dziwo! Krowy nie było. Napewno pobiegła do lasu, gdzie tyle razy żarła dobrą, świeżą trawę; teraz musi zaraz po nią pójść, bo w nocy mogłyby ją wilki pożreć. Szukając, długo chodził i błądził po lesie. Noga w bucie obtarła się i dokuczwała boleśnie, gdyż w pośpiechu włożył obuwie na bosą nogę. Usiadł więc na mchu, zdjął swą czerwoną chustkę jedwabną ze szyi, obwiązał nią bolącą nogę i ruszył w dalszą drogę. Naraz zobaczył za wielkim dębem skarb: skrzynie z czerwonymi dukatami, opodał pod kamieniem drugą i nieco dalej dużo srebra i złota, że za to wszystko można by kupić królestwo. POCO teraz jeszcze dalej uganiać się za krową? Trza będzie przynieść łopatę i siekiere i wszystkie te skarby wydobyć! Pobiegł więc do domu, a niezadługo przybiegł zpowrotem. Zanim jednak zabrał się do roboty, chciał zdjąć buty, gdyż przez drogę nasypało mu się w nie dużo piasku. Usiadł na trawie, odwiązał z nogi czerwoną chustkę — i naraz zginęły wszystkie skarby koło niego. Gdy bowiem szukał zaginionej krowy, do buta dostał mu się niepostrzeżenie „świętojański korzeń“ i nienaruszony ukrył się w czerwonej chustce. Teraz jednak podczas zdejmowania buta wypadł i zaginął, a wraz z nim znikło tak bliskie szczęście i bogactwo. Krowę zaś pożarły wilki“.

W mej młodości znalazem kobietę, dziś już dawno spoczywającą w grobie. Niegdyś była kwitnącem dziewczęciem z niebieskimi oczyma i długimi warkoczami, a jej beztroską młodość opróżniała jasna jutrzienka nadziei. Lecz dość prędko zjawily się troski i zmartwienia, choroby i nędza towarzyszyły jej przez całe życie. Wtedy biedna zasadziła ową roślinkę w swoim ogrodzie i przez niejedną noc świętojańską czatowała z czerwoną chustką jedwabną w ręku na rozkwit cudownego kwiatu — lecz nigdy nie zobaczyła tego cudu, nigdy nie przyszło do niej szczęście i nigdy — nie wróciła młodość. Owym korzonkiem jest paproć orlica, *pleris aquilina*, którego ukrytych kwiatów nigdy oko ludzkie nie zobaczy.

W nocy świętojańskiej dawno zapadłe miasta i zamki wychodzą na chwilę z pod ziemi i dają znaki po sobie. Lud opowiada następującą baśń. Między Kamienicą szl. i Borucinem wznosi się wysoka góra, otoczona łąkami, przez które przepływa bystry strumyk. W dawnych czasach stał na tej górze zamek, w nim panował bardzo srogi pan, a okoliczni mieszkańcy byli mu poddani. Gdy ci nie płacili punktualnie dzierżawy i innych danin, nienitościwy pan zabierał im ostatni kawałek ziemi i całe ich mienie. W Borucinie żyła wówczas biedna wdowa z gromadą dzieci w wielkim niedostatku. Posiadała tylko jeszcze jedną krowę, karmicielkę jej dzieci. Gdy pewnego razu nie mogła uiszczyć swych zobowiązań wobec pana, ten kazał przez parobków zabrać jej krowę. Wtedy kobiecina, otulona w podarte łachmany, poszła na zamek i ze łzami prosiła o zwrot krowy, aby jej dzieci z głodu nie zginęły. Lecz okrutny pan nie znał miłosierdzia i kazał kobietę wyszczuć psami z podwórza. Biedna kobieta rozpaczliwie targała włosy, załamywała ręce nad głową i wołała: „Jeżeli moje dzieci mają umierać z głodu, to niech się te mury zapadną i mnie pogrzebią!“ Złorzeczenie wypowiedziało w złą godzinę. Niebawem okryło się niebo czarnymi chmurami, gęste błyskawice przeszywały powietrze, straszliwy grzmot rozlegał się dokoła. Zawyły wichry, ziemia się zatrzęsła i zamek ze wszystkimi mieszkańcami i skarbami zapadł się w głąb góry. Dziś miejsce to pokrywa orna ziemia. W nocy świętojańskiej jednak, w go-

dzinie duchów, ukazuje się zamek na powierzchni, a jego pan chodzi wkoło niego, dźwiga ciężką skrzynię, zawierającą jego skarby i prosi przechodniów, aby mu je odebrali. Pewnego razu szedł sobie wieśniak drogą z Kamienicy szlach. do Borucina. Pan zamku zastąpił mu drogę i podając mu skrzynię z pieniędzmi, rzekł: „Weź te pieniądze i zanieś je do kościoła w Steżycy, a ksiądz niech je rozdzieli między wdowy i sieroty“. Wieśniak, oglądając się, zobaczył na górze wielki zamek z potężnymi murami i wieżami. Ogarnął go tak wielki strach, że zostawił skrzynię na drodze i co tchu uciekł do Borucina. Gdy potem inni, mniej bojaźliwi wieśniacy pobiegli na to miejsce, zjawisko znikło.

Jan Patock.

Zwyczaje żniwiarskie na Kaszubach.

1. Demony zbożowe.

Lud mniema, że cała natura wypełniona jest przyjaznymi i niebezpiecznymi demonami. Pod domowym kominikiem gospodarują miłutkie krasnoludki, na zamglonych łąkach nimfy wyprawiają swoje harce, w lesie rzadko bywa bezpiecznie i spokojnie, na bagnach błędne ogniki wabią przechodniów i ściągają na dno. Nawet pola i drzewa mają swoje demony. Obecność ich wysłuchuje się z poszumu drzew, z szemrania źródeł, z poświstu wiatru, ze szmeru dojrzałych kłosów. Są one tajemnicze, jak szum, szemranie, gwiazdy i powiewy. Jeszcze w dzisiejszych czasach wierzenia te nie zniknęły zupełnie, lud wierzy w demony, które w zbożu siedzą. Gdy tylko leciutko wiatr zawieje i zboże faluje jak morze, Kaszuba mówi: „Wjilk nêkô wowcë“. Nikt coprawda tego wilka nie widział, i ludzie nie mają nawet konkretnego o nim wyobrażenia, lecz jakoś wierzą, że tam być musi. Do dzieci, które bardzo chętnie biegają po życie i depeczą zboże, by narwać modraków, mówi się: „Dzieci, nie idźcie do żyta, wilk w niem siedzi i was pożre!“ W innych okolicach jest to inny rodzaj zwierzęcia, które żyta strzeże i straszy dzieci. Pod Chojnicami mówi się: „Byk leci przez zboże“, — w Niemczech jest nim często siwek, w Turynji dzik,

w Augustowie jeleń, w Holandji wściekły pies, jak również we Francji „le chien ragé“. Niezawsze zwierzę to jest postrachem dzieci. Na Kaszubach nawet straszy się leniwych i niezaradnych żniwiarzy takim nawoływaniem: „Naprzód, prędzej! Wilk siedzi ci na piętach“. Robotnikowi, którego przy częstem zginaniu się przy koszeniu krzyż boli, zwykle się mówi: „Byk ciebie uderzył“ — albo — „Kozieł ubodził“. Zbożowy wilk jest więc demonem w postaci zwierzęcia, strzegącego zboża przed urwisami i naganiającego robotników do pracy.

Lecz jeszcze inny demon harcuje w zbożu: jest nim pół-zwierzę, pół-człowiek. Kaszubi nazywają go „žětnô mac“; w innych częściach Pomorza i Poznańskiego nazywa się go „babą“. Lecz o tym demonie ludzie mają już realniejsze wyobrażenie: „žětnô mac“ mieszka w podziemnej norze, którą lud nazywa „piecem“. Tam pali się ogień, rozgrzewający piec. Ta żytnia matka jest niby niewieściego rodzaju, lecz ma dużą żabią głowę z oczami byka, z których buchają ogniste płomienie. Piersi jej są niebywale długie, tak, że może je przez ramię przerzucić. Jeździ zwykle na ogromnym wilku, trzymając w rękach widły. Dzieci, które spotka w życie, porywa do swojej norry, przedtem kładzie im do gardła swoje długie piersi i oczy smołą zalepia, w piecu ich smaży i pożera. Ta „žětnô mac“ znana jest w każdej okolicy.

Jak „žětnô mac“ jest postrachem dla dzieci, tak znowu „przëpołudnica“ — „przypołudnica“ jest postrachem dla dorosłych. Harcuje po polach i łąkach, gdyż nie siedzi, jak wilk albo „žětnô mac“, stale tylko w życie, lecz wędruje z miejsca na miejsce. Jest nią brzydka baba niezwykłej postaci. W towarzystwie wilków i dzikich psów wędruje po polach w porze obiadowej, gdyż nie cierpi, gdy kto w porze obiadowej przebywa na polach. Jeżeli napotka dzieci, chwyta je i każe im wyczesywać sobie czarne jak smoła włosy, iskać wszy i je zjadać. Kosiarzy, kładących się na miedzy na południową drzemkę, potrafi zbić do tego stopnia, że przez cały dzień nie mogą się ruszać.

Na niektórych polach jednak „przypołudnica“ występuje w postaci pięknej dziewczicy, w białej sukni, opasa-

na złotym pasem, za którym tkwi sztylet. Pewien młodzieniec zauważył pewnego razu w zbożu palący się ogień. Gdy podszedł bliżej, zobaczył piękną dziewczynę, grożącą mu śmiercią, jeżeli nie rozwiąże zagadek, które mu zada, do 1-szej godziny. Więc pyta: „Co kwitnie bez kwiatu?” (Paproć).

„Co bieży bez powodu?” (Woda).

„Co śniegiem bieluchnym w skwarnem lecie leży?” (Piana wodna). Wtem na wieży kościelnej wybija godzina 1-sza, dziewczę w tej chwili traci moc nad młodzieńcem i oddalając się, udziela mu jeszcze kilka mądrych rad na życie i miłowanie. Chłopców mniej ładnych zabija, pięknych trzyma w swojej niewoli.

Złe demony, dla których lud nie ma żadnej nazwy, są brzydkimi postaciami (Krósnjóczi — Kobolde). Zatrzymują się pod dużymi kamieniami i na skrajach pól i łąk. Te specjalnie polują na malutkie dzieci, których matki, zajęte pracą w polu, zostawiają na skraju pola. Porywają je i na ich miejsce kładą w poduszki brzydkie postacie. I tak pewnego razu wzięła kobieta swoje małe dziecko z sobą na pole, poszła do pracy, a dziecko zostawiła na skraju pola. Gdy matka powracała wieczorem do domu, znalazła dziecko zupełnie zmienione. Ciągłe płakało i zupełnie się nie rozwijało, zato odznaczało się dużą głową. Licząc lat dziesięć, nie przewyższało wzrostem czteroletniego dziecka. Pewnego razu znów, gdy wieśniak powracał z pola z ciężko naładowanym wozem, zaczepił tylnem kołem o płot ogrodu. Daremnie kazał chłopom swoim wóz na drogę wyprowadzić. Sąsiedzi, którzy nadbiegli do pomocy, również daremnie się wysilali. Wtem przybiegł z pokoju z za pieca, gdzie zawsze wysiadywał, ułomny ów chłopak, podlaźł pod wóz, podźwignął ogromny ten ciężar i bez trudu zaniósł do szopy. Teraz zauważył wieśniak, że wychował „bękorta”. Wieczorem obnażył go i z całej siły okładał dużym kijem, wyrzucając następnie na śmietnisko. Następnego dnia w takim stanie znalazł chłopca swego na śmietniku.

Tak samo zamieniono dziecko pewnej wieśniaczki. Wychowała biedną istotę do dziesięciu lat, lecz ledwo chodzić, ledwo mówić się nauczyło, stale w kołysce leżąc. Pe-

wnego wieczora wyszła kobieta na podwórze, zastawiwszy poprzecznie stół jedzeniem, by robotników zawołać na wieczerzę. Zdziwiła się jednak, powróciwszy do izby: jedzenia na stole nie było. Następnego dnia wieśniaczka powtórnie jedzenie na stół postawiła, sama wyszła na strych i przez dziurę przyglądała się, co się stanie: dziecko wyskoczyło z kołyski, w kilku minutach połknęło jedzenie dla dwunastu ludzi i znowu położyło się do kołyski. Poznała, że chowała „bękórta“. Zbiła je do krwi i wyrzuciła również na śmietnik, gdzie następnego dnia znalazła swoje prawdziwe, płaczące dziecko.

Jak z powyższego wynika, lud kaszubski zna cztery rodzaje demonów zbożowych. Postać zwierza ma wilk żytni, pół-zwierzę i pół-człowiek to „żėtnė mac“, ludzką postać mają brzydkie i ładne „przy południce“, wreszcie dziwolągi są to demony, porywające dzieci. Wilk i „żėtnė mac“ żyją w zbożu, ostatnie dwa rodzaje w polach i na skrajach lasu. Pierwsze są postrachem dla dzieci, ostatnie dla całego ludu.

A. Budzisz (Puck).

Mėmka szėns przindze.

Z vojnė bolszevjckji.

Trzėsk a vrzėsk vojenni bėł znjemjali a wucėchli, bjėtka bėła bjitė, kanėnė mjilczatė, ropa pulvru bėła rozlecalė. Zaczėło so szukanje renjonėch, pochowanie zabjitech. Straszne vėzdratkji bėdovalė so woczam. Jė szed na smėtėrz, dze pravje poległėch chovalė. Nje bėło dalėk do njesenjė, bo nėdėchtovnjė lezatė trupė na samim smėtėrzu. V tėrmė koscelnĄ granėtė mjalė vjelgĄ dzurę vėdlėbanė, plebanijė bėła przedzuravjonė, v jizbję ksėdza tkalo jednėsce kulėv.

V tim pjėknim, dalėk zėrnim koscele lezatė renjoni v tak gėstėch szėchtach, że le jak nėvostrėznjė so mjidze njima przedėrchac mėg, abė žėdnėho njevupokojic. Njejedni zgrużdzėlė so v krzizgėkach koscola, doch nėvjkszi dzėł leził v kėł wėłtėrza a podzėralė do krziza. Gruze wėłtėrza a organėv bėłė vėvleklė, wokna potrzaskanė, całi

dom Boží ze svojimi mieszkańcami běl machtné kozanje: — op'jta vszětce do mje, chtěrní va mozolní a wobczążoni jesta, jô vaji skrzepję. — Jó, jó, vszětce bělě zrenjałi a wobczążoni. —

Hevě ležíł żohnjérz z rozgrochotąnim czaszkę, dregjemu plec běła wurvanô, won ležěl v konanju. — V vjelgje plôhce jinaczé njeszło — spuscele sanitetrovje go v grób, heně ležíł jeden nagji, a jeho załómané wocze mu njicht nje zacěsnał, wone zdrzałě sztivno z głębjí eenji pod njebo, brakło vszětko: voda, słoma... Vedle těch podrěszającěch, a sěrcě rozedrzącěch scenów przěszed jô do wobraza Měmkji Boskjé. — Co za smutni vezdrzatk! Pod njim leżało sztěka dwadzescę trupów, njejedni z półôpnema załómanema woczóma, chtěrně rěchtowane běła do Měmkji Sěna Božého, dręgji znô trzimalě koronkę a krzíze v zesztivnjałěch półcach, gvěsno z wozěblěma lěpóma do smjercě so modlělě z zdrokóma ful nódzeje.

Słóńce zachódające rzucěło swoje wostatné promě na pole, kjej jô ten mól źnjíva smjercě wopuscěl. Na rźmje, dze baterejô stôva, stoerczěła zaběto věcěrka kanóně. Kole tého dragu ležíł kanonira, woba golenja kula mu mja rozěrvanô, kamróce mu torněstěl jak zeglóvk podsěngle, krvavenje běło vjelgje, wopatřenk nje běl vložoni. Won ležíł vezdratkuje bez nómjeszého bolu, spokojnje przě ful przětomnosć. —

— Boli Vąm cóz? — Njé, njíjak! —

— Jô Vas wopję bańdażą; może Vě móce do svojěch co do wobsztelovanjô? —

— Muszě jô wumrzéc? — vėpch won bolesnje.

— To gvěs njé, ale Vě jescę czężko renjoni, a zichjer mdze długo varało, jaż Vě svojich wuzdrzice! —

— Jô le mjeszkąm pôrę mjil stąd, mēmka to grzemjenje kanonów czěła, wona przíndze a mje sobą veznje! —

— Hevě z wokolęcě vszětko wucekło.

Moja mēmka szóns przíndze, to jô gvěs vjem. Wona mje vjedno pomogła, wona mje téz dzis nje wopuscí. —

— Procēm své volě jô doch baro żorgalną minę pokozól, bo won jěż rōz pětól: — Muszě jô wumrzéc? —

— Vě tu barzeczko v zókrecim ležice, lepjé bě bělo, kjej Vě bě běle v lazarět transportirovani, naszi lědze bě mogle Vas letko przewoczěc! —

— Boskô vola! Moja mēmka szóns przĩndze — rzek won ze slabim glosę.

Won prosił wo wodę, to perźnę, co jô mjól, běło zbrėkované. Jô mu przėrzek, žebēm jile možnoscę z vodą nazôd przėszed a ridovól do blėzė vsė.

Zichjer pól godzėnė so mjinęło, kjej jô nazôd przėszed. Ju wogarnęłė go cemnė czade smjercė. Tuknęło przez jeho całe cało, won vėcignął a rozdłėzil so a ležil bez rėchu. Žėce běło wulecale. Ale jėz róz wotemk won woczė, rėszalė so jeho blade lėpė, a jô zgjibajaci so nad njim, doczėł te słova: — Moja mēmka przĩndze. Bogji wusmjėch wosłonjił jeho lėpė, ležil jak cėcők wuspjoni v klinje mēmki. Ten moment mje barzo zrėszil. Jak cenjô stojil ten sztocěk przed co róz to cernjėszim njebę. Jô wuklek a serdeczne modle za zmarłėho do trónu Boskjėho słól.

Knapno jô nazôd běł zaszli do lazaretu polnėho, woždało mje stŕė babsko v wubožėchnim, ale czėstėchnim klėdėnku. Wono wlekło wobszerni pińdel, v chtėrnim pjerzėnė bėłė. Z krzėczonim glosę povjŕdało, že przėsšlo z jedni le kjile mjil odlegli vsė, že bėła gdova a so z cŕką pranjim žėvjila. Jė sin běł ve vojnje bolszevickji, tej ji bezpjek nje dało, wono so strachovało, že sin renjoni běł a ležil v lazarece. Wona z cŕką že le jednā poscel mja, v chtėrni wobje vecmańji spałė. Cŕka spŕvŕ že terazkė na sztreji, a wona vzę poscel dlŕ chorėho sėna. Tak wona z pjerzenŕma a zeglŕvkŕma v plŕchce zavinjonema na puklu przėsšla, bėła ju na rŕznėch stacejŕnach, ale sėna nje trafjila, ŕo v svojim njebezpjeku zabėła akurŕtnā vjėdzę vėkuńdovac, sostra Elźbiėtanka vnėdze njā so wŕpjekiva, a jė do nas przėprovadzėła. Tu wona mėslėła sėna nalezc a mu mjitkji domŕci lŕgjer poscelėc.

Nalazla sėna — ale ju mjitko zascelonėho — kole vėcėrkji kanŕnė — v klinje zemji. Zgjętŕ a zrėszonŕ szla wona z pjerzenŕma dodŕm do cŕrkji na slŕmjanim barlogu.

H. Czernieki.

Sztërolystki.

11. Dwie moewe.

Moewa godano sę baro od moewë odróżnio pisany,
Boe chto godo, ten móże i woekę i ręką dopoemoc,
Ale pisanech ju słów jak w marmurze rylcę wëkutëch,
Tëch nie zmieni wësyłk. Jak sę je dało, tak są.

12. Głupo gęs.

Gęs po woedze płëwając, kiěj uzdrza swoejigo wroga,
Strasznie sę zlekła i lep le głëbok w toni zanórzy.
Głupo tē, głupo gęs! Bo wësok nogi stopérczą,
Za nie ce złapi lës, smaczny urządy so zer.

13. Ród Judaszow.

Czë to je prawda, że Judosz sę w pewnym urodzył miesce?
Zdowo sę, że tak je, bo zdrada sę jego koscérzy,
Ród sę jego plemieni i dalszy ju woekrag zalëwo.
Kiěj go nie weznie złé, cały on skazy doróbk.

14. Cno spółproca.

Chcołbë tē zemną prócowac? — To znaczy, miły paniczku?
Nen mu po cëchu rzek: Ko lëpic i krasc i urëwac,
Co le sę udo, sę chce. Ten odrzek i wase pocygo:
W taki roboecc jaż rod udzoł mdę wiérny jo broł.

15. Dzyrsko, Gryfie!

Wëlecył Gryf, to chwala, i wësok dąży pod niebo,
Ale wrzosklëwy trój drzyszczącygo w błotku gadzënstwa
Drze sę, gulgoece i gdocze, jaż miło słëchac rozgwëru.
Płeni le, Gryfie, wzwyż, w błone nie sygo ich trzap!

Z vjerzenjô kaszëbskjého lëdu.

Njeh njeboli mje — ale boli ce...

Zebrôł J. Trépezik.

Rôz jednę bjałkę poczęłe baro zębe bolec, że nocë nji-
mogła spac. Przewrôca sę v pjerznach z jedného boku na
dregji — chca wusnąć, ale njimogła te dokôzac. Zębe jak
bolale, tak bolale. Bez całą noc jęcza ë skęcza — całé
dąsła bëlë jak v wognju. Jé sę tak zdôwało, jakbe żólaci
wëgle chto donech dąsłóv przëklóddól. Renechno, jak leno

sę vjidno zrobjiło, veskokła bjałka z vér. Zarzucela nase své ruchna ě vĕbjegła z chĕcze. Calechnĕ dopĕhja czurpa wod jedné do dregji babe ze vse, cobe jĕ wulzele. Koždĕ z nech bĕb jinaczĕ né bjałce z radą szle. Jedne przeklĕdale zaczarované zela — drĕgji zĕbe zažegnivałe. Na njick jednak ne vszĕtkji bełe kuńszta. Tak z vjĕlgjim jiscenjim nazĕt jidze dodóm, glosno tĕj sé svĕj jiver vepovjĕdajac.

Vnim procem njĕ jidze dzirskjim krokjem mĕodi parobk, z palecą v rĕku ě sztĕdentovą czĕpką na głovje. Jak bĕł krĕtko né bjałkji, czĕje: „A mĕj Boże — Boże mĕj!“ Przĕstanął, a sĕ pitĕ bjałkji: — Co vami je że sĕ tak jiscice?

— A Boże jo — rzekła bjałka — mje tak zĕbe bolą, że njevjmĕ so njižódnĕ rade. Bĕła jem vszĕdze a njicht mje njimože pomoc. Može vĕ pańcu vjĕce co na zĕbĕv bolenjĕ?

Sztĕdent posłechĕł, jakĕs mesel mu do głove muszela przinĕ, bo sĕ wusmjĕł ě rzek: — Zaresku vamĕ radĕ veszukam, le muszice v to mocko vjerzee bo takbe z te njick njebeło.

Vĕjął z pazeche notĕs, pomeslĕł sztĕrk, a tĕj napjissĕł na szteczkju papjora po łaceznje: „Njech njeboli mje — ale boli ce“. Vĕrvĕł nĕ kartĕ, dĕł bjałce ě rzek: — Bjĕce teresku dodóm, a jak tam bĕdzece, to przĕložce ten papjĕrk na zĕbe ě móvce: — Njech njeboli mje — ale boli ce, — tede woprzestaną boleć.

Vzął sĕ sztĕdent ě szed dalĕ. Po mĕlim sztĕce wobezdrzĕł sĕ za bjałką ě wostĕł stojac. Njimĕg sĕ od smjĕchu strzĕmac, a do se rzek: „To jem bjałcĕsko vĕszekovĕł, chtĕrno v gusła vjerzi“. V chtĕren czas potemu mjĕł wo tim zabĕczoni. A no zjivrovánĕ bjałcĕsko jakle parg dodom przĕstąpjilo, vzĕło sĕ nen papjĕrk przĕklĕdac na zĕbe a gĕdało: „Njech njeboli mje, ale boli ce“. Jakbe kam v wodĕ cĕsnał — zĕbe woprzestalĕ boleć.

* * *

Zbavjilo pjińcnĕsce lat. Sztĕdent, wo chtĕrnim gĕdka, je dzisĕ proboszczĕ na parafjij. Zdĕrzo sĕ, że jĕmu tĕż zĕbe poczĕle boleć. Czĕstĕ mĕka. Jĕdzi wod jedného doktora do drĕgjiho — a nĕ zĕbe jak bolą tak bolą. Lĕdze jak no lĕdze, vnetkĕ dostele vjĕdzą, że jegomosca zĕbe baro bolą. Tak jidą na plebanjĕ ě gĕdają, że na pustkach mjeszkĕ bjałka, co rozmjeje chorosc zĕba velĕkovac. Choc

to ksąc ledkijm gôdkom njedôvól vjare, kôže róvnak nę bjačkę dose dac wołac.

Kanęła stareszka v proboszcza jizbje, vëjimô papjórck zežôtkli, a chce go ksudzowi na gębę przëložec. Ksądz na to vzérô a sę pitô bjačkji skądka ten papjórck mô? Wona zôs na to: — Kjile lat tému dosta jem go wod jedného młodého parobka kjej mje baro zębe bolale. Jak jem ten papjórck przëložęła na zębě a rzekła: — Njeh njeboli mje — ale boli ce, — tej zare woprzestale. Ksudz zbladnął jak scana. Wzał nę kartę z ręku bjačkji ę rzek do njé: — Vjéce vë wod kogu vë ten papjórck môce? Won je wodmje. Jô jem bël tím parobkem co vami go dôł. Z głëpote jem to zrobjil, a vë v to wuvjerzele. Za to bëlebë jesme woboje potëpjoni.

Vzał so ę porvól nen papjórck, cëskajęc go v pjéck na spôlenji a zębe go v tím samim sztërku woprzestale bolec.

Kjile słów starodôvnëch.

gard — gród
wogard — ogród
parpac — paproć
barda — broda
parg — próg
parmjiń — promień
karva — krowa
varna — wrona
vark — zawód
jari — roczny
elba — miła, luba
reńczik — kij pasterski
womolëce — pokryjomu
cerpjisko — cmentarz
kôc — stać (stawić się)
szczalba — łupina
skoma — tęsknota
dejô — duch, pojęcie
jista — istota
jesta — byt, jestestwo.

Zebról L. Czajôszk.



Guczóv Mack gôdô:

Vitôjtaž! Chceme le so zažec! Pjisól jem vama wostatni rôz moje žecé v Varszavje, jak jem sę na harbatą wurznał, a poprôvdze jesz dzis tak chodzę, jak gęs napjitó. Ale va le nje vjéta co wona može dopjêrzé trzeciho dnja v nocé. Slechôjta le lédze, co mje sę po nji sniło:

Snjiło mje sę, že jem wumar, a svjêti Pjeter wotmikô klucę (ten klucz vězdržôł tak, jak Szmul z Nalevkóv a nos dŕuggi pasovôł decht pravje, v tę dzurkę zamkovą co běła tak vjelgô, jak Goljata bót) njebjeskji vrota ě gôdô do mje: „Pojle Macku, takjich jak tě, mě tu brékujemě“. — Tak ma so ze svjêtim Pjetrem nôpjervi zažela jesma, že won jaž kjichnał tak gŕosno, že ni vszêtcě djôblě v pjekle wod strachu lincuchami zgrochotelě. „Jo — rzek Pjeter — taki jem jesz nje zaživôł; vjěz Macku, že dlô samého tvého roga tobaczného bělběs do njeba przėszed; ale povjadôže co nového tam z Kaszëb, to jem baržeczko czekavi“.

Rzek jem vszêtko jak běło, a won le mje po remjeniu poklepôł ě rzek: „Kaszëbóv Pun Bóg njigde njewopuci, bo to lud wěbrani, a jistnjec mdze do kuńca svjata. Będzě gvěs slów mojih Macku, a teru le so bjój do krôjině njebjeskji, skądka sze ěslěvi zdrzec mozesz na wojczezną tvoją „Modrą Krôjinę“. — Szed jem wobzerac rôj njebjeskji ě szëkac Kaszëbóv, le jakos, že vszêtcě docé vësok sedzelě, njimóg jem njizôdného dozdrzec. Poskrobôł jem sę po lěsě banji ě vëjął róg. Le skorom to zrobit, tej jak na komeńdę poczëlě sę vszêtcě do mje cesnac. Przėszed ksąç Svjêtopôłk, Mestvin, przėszed Cënova, przebjég łgôrz Derda, co to całé njebo fajkami zabôvjô ě jesz vjele jinszëch. Wonji zaživelě, chvôlëlě tobakę, pjitelě sę vjele rzeczi ě vjele wopovjôdelě, a takô běła radosc, že ji anji jezëk nje napjise, ani rëka nje vëpovjë. Są tam v njebje nôrozmajitszë lëde, z nôrozmajitszëch stron svjata. Vjidzôł jem Polôchóv ě Kaszëbóv, Frańcizóv i Afrikańcizóv, navëtka żeđóv, jak Abrahama ě vjele jinszëch. Vjidzôł jem królóv ě Łazarzóv, baro možnëch ě decht bjédnëch. Móg bë jem tidzenji wo tim pjisac jak tam je, ale va to doch vjéta, že „jako v njebje, tak ě na zemji“.

Kjej mě sę tam ju docé nagôdële, tej jem so szed kask aparat, na wustronjë, skądka jem móg dobrze vjidzec całé Kaszëbë. A bëlě woně tak pjëkné, že mje sę poprôvdze zôł stało, bëc v njebje. Mestôł jem nad tim, jakbë sę

tam nadół dostac, bo wšok to bělo jak paraluž. Ale nŃgle mje przėszo do głově, že kozdı njebjeski mjeszkańc mŃg sę zamjenjic v co won chcŃł. Tak jem sę dlužo nje namiszłŃł, lem sę v pajika zamjenił, bę sę na włŃsno wunšetě pajęczęnje na dŃł spuscęc. Z raza to szlo czesto dobrze, le vkrŃtce mje zafelalo pajęczęně. Tej jem tak vjisŃł na pajęczęnje v wobłokach, majacı nogii, ręce i głovę na dŃł przez całę czas. MjŃł jem wumjerzoni na Vježęcę, le žę przėszed vjater, co mje v dołě wunekŃł, bęł jem bezradni. Ale nawostatku dobęł jem vszětłki mocę, a tej jem vęcšnał jész zachit kavał pajęczęně, cobě sigło — ale žem przětım pravje wodeck ě postržęc, co to za djabelnŃ pajęczęna běla

GŃdam vama lędze, že to gvės ta varszavskŃ harbata, co to trzecę nocę ve snje može vjicę, njizle liter ricuus... Chcemě le so zažęc!

Z Kaszub i o Kaszubach.

— **Nadużywanie nazwy KaszubŃw.** W ostatnich czasach mnożą się wypadki, że w celach partyjno-politycznych nadużywa się nazwy KaszubŃw, by w ten sposób słowem tem w nieświadomej spraw pomorsko-kaszubskich części społeczeństwa polskiego wzbudzić pewnie dla siebie sugestję. Operuje się tym wyrazem jak pustem hasłem-frazesem.

Jesteśmy pismem apolitycznem i dlatego nie chcemy wymieniać faktŃw konkretnych, wystarczy powiedzieć, że są to najczęściej te żywiŃły, które zasadniczo nie uznawają ani odrębnŃści charakteru kaszubskiego, ani wogŃle nazwy KaszubŃw.

Przeciw tego rodzaju praktyce wyrażamy na tem miejscu jak najenergiczniejszy sprzeciw.

Ziemia kaszubska jest coprawda wskutek wysuniętego położenia godna troski i uwagi powoływanych ku temu czynnikŃw oraz całego myślęcего społeczeństwa — ale ziemia ta nie potrzebuje młłpiej miłŃści niepowoływanych, którzy własnje wŃwczas najbardziej troskają się o nas, kiedy ich najmniej potrzeba, a kiedy mają przyłŃżyć rękę do dzieła, to ich niema lub pienią się ze złŃści konkurencyjno-partyjŃtecznej.

Ludność kaszubska, jako równouprawniona część ludności całej Polski sama potrafi się zastąpić tam, gdzie potrzeba, i gardzi po żydowsku narzucającymi się adwokatami.

Gorzej jeszcze się dzieje, że ci sami fałszywi obrońcy przy różnych sposobnoścjach rozmyślnje pomijają prawdziwych przedstawicieli KaszubŃw, świadomych swego charakteru i spraw kaszubskich, a wysuwają albo siebie samych, albo dla zewnętrznej przywoitości osoby, nic nie mające wspŃłnego z Kaszubami, a nawet Kaszubom wyraźnie wrogie. Cel partyjny i samolubny takiej gry zwykle dobrze jest ukryty i dopiero pŃźniej wychodzi sztyłto z worka, gdy rzecz jest ubita.

Ludność kaszubska wyprasza sobie zatem, by jakiekolwiek instytucje, związki, pisma, partja lub poszczególne osoby po faryzeuszowsku określaly pewien odłam społeczeństwa pomorskiego jako kaszubski dla prywaty lub

w cenach partyjnych. Inaczej zaczniemy je demaskować w poszczególnych konkretnych wypadkach.

— **Potworną i głupią napaść na Kaszubów** spotykamy w nowowychodzącem piśmie po'lskiem, warszawskim „Przeglądzie Krajoznawczym“ pod red. p. Grzybowskiego. Mowa tam o Wejherowie, że społeczeństwo miejscowe, wychowane w obcej kulturze, opornie przyjmuje kulturę polską, a nadto „mało jest uspołecznione, niewyrobione, chwiejne pod względem narodowym, etycznie niezbyt wysoko stojące“ i t. d.

Za bezdenne głupie te słowa, które chciałoby się zpowrotem w cuchnące usta wtłoczyć, najlepiej pogardą się odpłacić. — Niestety nie można zeszytu tego w księgarni nabyć, może wydawców wstyd??!

— **Kaszubi murem obronnym Polski.** W Domatówku w powiecie morskim zebrani na wiecu Kaszubi powzięli rezolucję: My, obywatele gminy Domatówko, Polacy-Kaszubi, wierni naszej najdroższej Ojczyźnie, Rzeczypospolitej Polskiej, nie pozwolimy na żadne próby naruszenia czemkolwiek całości naszych praw lub granic przez zachodniego sąsiada.

W stosunku do wolnego miasta Gdańska wyrażamy bezwzględny bojkot gospodarczy w odpowiedzi na narzuconą nam walkę przez gniazdo hitlerowców, które tam znalazło swój przytułek, obrażając uczucia narodu polskiego.

Wara od morza, bo nad morskim brzegiem,
Wierna Narodu Kaszub czuwa straż —
I dziejów losem i przeznaczeń biegiem:
Bałtyk był polski, jest i będzie nasz!

— **Wystawa malarska w Gdyni.** Pod protektoratem p. wojewody pomorskiego, Kirtiklisa, otworzą Pomorska Szkoła Sztuk Pięknych w Grudziądzu 3 lipca rb. w Gdyni wystawę malarską pod znakiem kaszubszczyzny.

— **Muzeum regionalne w Tucholi.** Magistrat miasta Tucholi rozpoczyna budowę wielkiego gmachu, w którym mieścić się będzie muzeum regionalu, Borów Tucholskich. Zbożnemu dziełu posyłamy najszczerze „Szczęść Boże“ a życzyć należy, żeby i inne miasta Pomorza poszły w ślady kulturalnej Tucholi.

Nakładem Spółdz. Wydawniczej z o. p. „Gryf“ Kartuzy, Wzgórze Wolności 5a,
Komitet redakcyjny: Dr. Aleksander Majkowski w Kartuzach, dr. Władysław
Pniowski w Gdańsku, ul. Am weissen Turm 1, Stanisław Brzęczkowski
w Gdańsku, ul. Olivaer Tor 3-4.

Za redakcję odpowiesz.: Stanisław Brzęczkowski w Gdańsku, ul. Olivaer Tor 3-4.
Przedpłata wynosi rocznie 3.50 zł. — półrocznie 2 zł. — kwartalnie 1 zł. —
pojedynczy numer 35 groszy.

Cena ogłoszeń: cała strona 120 zł. 1/2 str. 60 zł., 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł.

Konto P. K. O. 200431.

Ogłaszajcie się w „Gryfie Kaszubskim“, znanym w każdej chacie pomorskiej

Czcionkami drukarni „Gazety Kartuskiej“ w Kartuzach.

GRYF KASZUBSKI



PISMO DLA LUDU POMORSKIEGO

Nr. 12.

Kartuzy, we wrześniu 1932 r.

Rok I.

Od Redakcji.

Kończy się rok pracy naszej nad „Gryfem Kaszubskim“. Nie będziemy się rozwodzić nad tem, jak się ta praca odbywała, dość powiedzieć, że kamienista i ciernista była droga.

Z ubolewaniem też stwierdzamy, że pismo, poświęcone ludowi kaszubskiemu, nie było przez lud rozchwytywane. Temu na przeszkodzie stały nietylko brak grosza i brak należytej świadomości, ale przede wszystkim terror i agitacja pewnych czynników urzędowych, nieprzychylnych kaszubszczyźnie. Wszystko zanotowaliśmy sobie dobrze w pamięci i do sprawy tej powrócimy przy innej sposobności. Tutaj tylko zaznaczamy, że ciasnota serc i umysłów trwa dalej, że wielka część patriotów, rzecz obojętna z jakiego obozu pochodząca, nie umie pogodzić w sobie życia dla państwa z życiem obywatelskiem, życia w regionie z życiem dla całego narodu, że jednych rozsadza służalczość i pochlebstwo, a co za tem idzie, srogość i autokratyzm, drugich bunt lub podstęp niewolnika względem srogości i niewoli ducha. Co gorsza partyjniectwo rozwieliło się do tego stopnia, że nie można uprawiać oświaty i spraw ogólnokulturalnych bez natknięcia się na upór i zaciętrzewienie partyjne. Nieraz przyszło nam opierać się przynętom i zachętom, wychodzącym z zamysłów stronnicych. Opieraliśmy się wszakże zwycięsko.

I dla tej naszej niezależności wielu zagorzałych polityków odmówiło nam współpracy i poparcia.

Dla tych przyczyn oto — a są jeszcze inne — nie zdaliśmy dotąd pisma naszego należycie rozpowszechnić, to też niech się nasi zwolennicy nie zdziwią, jeśli pracę naszą przerwiemy na jakiś czas — aż do chwili polepszenia się stosunków wewnątrzno-politycznych i gospodarczych — aż się ludziom trochę powieki uchylą.

Alfred Świerkosz.

Pelplin, stolica biskupów pomorskich.

Historja miejscowości. — Pierwotne nazwy Pelplina. — Grodzisko Cukrowa Góra. — Cmentarzysko z epoki rzymskiej. — Kasacja klasztoru Cystersów. — Zabytki katedry. — Pałac i park biskupi.

Czar pewnej okolicy lub miejscowości zależy nie tylko od położenia, ale także od zabytków, jakie w niej się kryją. Im bardziej pokryte są patyną wieków, tem większy budzą w nas zachwyty nad dziełami rąk ludzkich minionych wieków.

Pelplin, położony malowniczo nad rzeką **Wierzyca** w powiecie tczewskim, zdawien dawna słynie w całej Polsce z najpiękniejszej i największej świątyni gotyckiej, dookoła której amfiteatralnie rozbudowało się czyste i schludne miasteczko. Historia Pelplina składa się z szeregu pięknie zapisanych kart, opromienionych refleksem wydarzeń ogólnonarodowych. Życie w ciągu wieków nie płynęło tu łożyskiem równem z dnia na dzień, bywało bowiem zamęcane wypadkami, przeżywanemi w całym kraju. Początki Pelplina giną w pomroce dziejów, chociaż i z różnych względów miejscowość śmiało można zaliczyć do **najstarszych osad Pomorza**. Nazwa miejscowości brzmiała pierwotnie **Peplin**, **Paplin**, tak zresztą po dzień dzisiejszy wymawia ją lud okoliczny. Jest to nazwa, wywodząca się od założyciela osady lub pierwszego właściciela Pelplina, który niezawodnie **Pepla** się nazywał. **Cystersi**, którym w roku 1274 książę pomorski **Mestwin II** darował wieś Pelplin wraz z okolicą, nazywali swą nową



Biskup-Kaszuba. Jego Ekscelencja ks. biskup-sufragan diecezji chełmińskiej Konstantyn Dominik, tytularny biskup Atrybitański, urodzony dnia 7. 11. 1870 r. w Gnieździe, powiat morski, wyświęcony 25. 3. 1897 r., prekonizowany 20. 1. 1928 r., konsekrowany w Pelplinie 25. 3. 1928 r. Ksiądz biskup Dominik pochodzi z rodziny kaszubskiej od wieków zamieszkałej na wybrzeżu polskim.

siedzibę, jak wykazują dokumenty, **Mons sancte Marie, Marienberg, Novum Dóberan, Neu Doberan, Samboria** itp., lecz nie zdołali wyprzeć nazwy od wieków używanej, przyjęli ją więc, choć w formach nieco zmienionych, jak: **Polplin, Polpnin i Poplin**, później używali już niemal wyłącznie: **Polpelyn, Poelpelyn i Poelplin**. Stąd ustaliła się w XIX-tym wieku urzędowa nazwa **Pelplin**. Jak inne prastare osady, tak Pelplin miał w pobliżu swoje grodzisko, dokąd w razie napadu chroniła się ludność z dobytkiem; jest to t. zw. **Cukrowa Góra**, leżąca na wschód od miasta. Liczne zresztą wykopaliska z różnych epok przedhistorycznych świadczą o starożytności Pelplina. Jednym z najciekawszych odkryć, jakie dokonano w Pelplinie, było rozkopanie na polach maciejewskich w r. 1894 całego, świetnie zachowanego cmentarzyska z epoki rzymskiej. Za czasów cystersów Pelplin był tylko małą wioską. Dopiero po przeniesieniu tu stolicy biskupiej zaczął szybko się rozbudowywać. Klasztor ufundowany przez księcia pomorskiego, **Mestwina II**, był jednym z najbogatszych w Polsce i stanowił jakby **udzielne księstwo**, gdyż obejmował oprócz młynów i jezior 44 wsi. Cystersów ponadto bogato obdarowali książę **Przemysław II, Władysław Łokietek** i później szlachta pomorska. Pod panowanie Krzyżaków dostał się Pelplin w 1282 r. Przez cały wiek 14-ty trwała budowa klasztoru i kościoła, który zaraz po wykończeniu zniszczyli Husyci w roku 1433, zamieniając kościół na stajnię. Podczas wojny 13-letniej klasztor uległ również zniszczeniu, zaś podczas wojen szwedzkich przybył tu w roku 1626 król **Gustaw Adolf** i mimo, że surowo zabronił rabunku, Szwedzi zabrali trzy wielkie skrzynie najlepszych i najcenniejszych książek, wywożąc je do Szwecji. W latach 1655—60 cystersi znowu wskutek wojen wiele ucierpieli, dopiero po zawarciu pokoju w Oliwie nastaly dla Pelplina spokojniejsze czasy. W r. 1634 przybył tu Władysław IV dla prowadzenia układów ze Szwecją. Najświetniejszym zdarzeniem były odwiedziny króla **Jana III Sobieskiego**, który przybył tu w roku 1677 z królową i królewiczem Jakóbem na uroczystość Bożego Ciała. Na pamiątkę tych odwiedzin nazwali zakonnicy wielki refektarz salą królewicza Jakóba. Po pierwszym rozbio-

rze Polski Pelplin znalazł się pod panowaniem pruskim, a dobra zakonne poszły w administrację rządową. W roku 1810 zakazał rząd pruski przyjmować nowicjuszków, tak konwent skazany został na wymarcie. Wreszcie w roku 1823 został klasztor po 548 latach istnienia całkiem zniszczony. Ostatni przeor, ks. Ludwik Prądyński, umarł w r. 1826 w Nowejcerkwi, a ostatni z cystersów, ks. Wilhelm Miecznikowski, umarł dopiero w r. 1859 w Skarszówach. W r. 1824 Pelplin został rezydencją biskupów chełmińskich, a kościół pocysterski przeznaczony został na katedralny. W r. 1836 założył w Pelplinie ks. biskup Sedlag zakład naukowy, dzisiejsze Collegium Marianum, i od-tąd miejscowość zaczęła się szybko rozwijać. Dnia 28-go stycznia 1920 r. Pelplin wrócił pod panowanie polskie, a w r. 1930 wyniesiony został do rzędu miast.

Do najwspanialszych zabytków Pelplina należy wspomniana już **katedra**, którą pod względem architektonicznym zaliczyć należy do najpiękniejszych świątyń Pomorza. Wnętrze katedry imponuje rozmiarami, bogactwem ołtarzy, malowidłami i rzezbami. Ozdobą kościoła jest wspaniały główny ołtarz z najokazalszym obrazem, jaki się w katedrze znajduje, pendzla nadwornego malarza, **Bernarda Hahna**, z Chojnic. Jest to co do rozmiarów i liczby umieszczonych na nim osób, między którymi znajduje się także Zygmunt III i Władysław IV, największy obraz na całym Pomorzu. Reszta ołtarzy w liczbie 22 pochodzi po większej części z 17 i 18-go wieku w stylu barokowym. Katedra chlubi się również największymi organami w Polsce, liczącymi 3 manualy, pedały, 60 regestrów i 4500 piszczałek. Głównym skarbem świątyni i jej najokazalszą ozdobą są niezwykle pięknej roboty stalle, jak również konfesjonały z rzezbami symbolicznymi, pochodzące z połowy 14-go wieku. Z obrazów zwracają uwagę dzieła gdańszczanina, Samuela Buchwalda, z 1683 r. i gdańszczanina, Andrzeja Stecha, z 1676 r. Wspaniałych nagrobków katedra nie posiada. Skarbiec, niebardzo bogaty i zapuszczony, posiada kielichy renesansowej roboty z 17 i 18 wieku, berła biskupie, krzyże misternej roboty, będące zabytkami złotniczej roboty cystersów, relikwjarze, rzeźbione wspaniale szafy gdańskie i ornaty z XVII-go

stulecia. Wzdłuż południowej ściany katedry prowadzą krużganki gotyckie, zbudowane w 13-tym stuleciu, z których najpiękniejszy jest północny z pięknie rzeźbionymi ławkami z r. 1609 o zapleckach barokowych, dzieła bracia Jerzego, a fundacji opata, Mikołaja Kostki. Ściany są ozdobione obrazami ze scenami z Pisma Świętego, umieszczonymi w latach 1689—1702. Obrazy są naogół dobrego pendzla i wykazują wpływy włoskie, być też może, że są dziełami kilku ówczesnych lepszych malarzy gdańskich. Wartość ich artystyczna jest z tego powodu nierówna. Podczas restauracji w r. 1881 pod jednym z obrazów, których liczba ogólna wynosi 20, odkryty został fresk z XIV wieku, malowany temperą, jeden z najcenniejszych w Polsce zabytków malarstwa epoki gotyckiej. Wzdłuż południowego krużganka ciągnie się refektarz, mieszczący bogatą bibliotekę katedralną, w której znajdują się stare przywileje klasztorne, rękopisy z cennymi inicjałami i stare druki, a pośród nich wprost bezcennej wartości **biblija Gutenberga** z roku 1455, w znakomitym stanie utrzymana w dwóch tomach.

Zachodnie skrzydło zabudowań zajmuje gimnazjum biskupie **Collegium Marianum**. Nad wschodnim krużgankiem wznosi się stare seminarjum duchowne, z przytykającym nowem, zabudowaniem w latach 1867—1869. Po przeciwnej stronie katedry stoi prastary kościółek parafjalny, pochodzący z 14-go wieku. Naokoło kościoła znajduje się cmentarz z wielu pięknymi nagrobkami. Na zachodnim krańcu miasta stoi pseudogotycki kościółek pod wezwaniem św. Józefa i szpital, zaś na północ od katedry pałac biskupi, wśród dużego parku, zajmującego 20 morgów terenu; są tam dwie aleje lipowe, które tradycja odnosi jeszcze do czasów księcia Mestwina II. W okolicy katedry mieszczą się kurje kanonickie w liczbie 10.

Miasto jest czysto zabudowane, posiada cukrownię, a najpiękniejszy widok na Pelplin jest z góry Biskupiej, wznoszącej się 63 metry ponad poziom morza.

Jan Patock.

Zwyczaje żniwiarskie na Kaszubach.

2. Pierwsze i ostatnie kłosy.

W północnej części Kaszub zboże dojrzewa dopiero w ostatnich dniach lipca. Po święcie Matki Boskiej Szkaplerznej, obchodzonem dnia 16 lipca, wieśniacy przygotowują się do żniw. Wyostrzają kosa i zaopatrują je w rożeń. Wieśniakom nie jest też wcale obojętny dzień, w którym rozpoczynają żniwa. Nigdy bowiem żaden gbur nie zacznie kosić w piątek, gdyż lud zwykł mówić: „W piątek to zły początek“. Nawet poniedziałek i czwartek nie są odpowiedniami dniami; do rozpoczęcia żniw nadają się jedynie dni, poświęcone Najświętszej Marji Panie, to jest środa i sobota. Wystarczy w sobotę tylko małą część skosić i związać, to w poniedziałek można rozpocząć właściwą pracę.

Początek żniw zazwyczaj rozpoczyna się uroczystością kościelną. A kosiarze starannie przygotowują się do tej pracy. Jest zwyczajem, że każdy robotnik przedtem się kąpie i przywdziewa czystą bieliznę. Kosy ozdabia się kolorowemi wstążeczkami, a na kapeluszach umieszcza się wiązanek świeżych kwiatów. Raniutko w sobotę wszyscy kosiarze idą do kościoła, gdzie gospodarz już zamówił nabożeństwo, by uprosić błogosławieństwo Boże dla żniw. Kosiarze zostawiają swoje kosa na cmentarzu przed kościołem i modlą się nabożnie. Po mszy świętej kapłan odśpiewuje razem z wieśniakami suplikację:

„Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny,
Zmiłuj się nad nami“.

A potem dodaje jeszcze:

„...Abyś nam żniwa pobłogosławić raczył,
Prosimy Cię, Panie“.

Po skończeniu nabożeństwa kosiarze ustawiają się na cmentarzu z kosami na plecach i kapłan ich błogosławi, śpiewając przytem:

„Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całym sercem szczerze ufa Jemu,
Śmieie rzec może, mam obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga“.

Śpiewając tak po kilka zwrotek, kosiarze odchodzą w pole i niedługo potem zaczyna się praca wśród nabożnej piosenki.

Na polu zdejmują kosiarze kapelusze i wołają do siebie: „Daj Boże, aby się dobrze rznęło!“ — Gbur, jako właściciel pola, zaczyna pierwszy kosić, gdyż zupełnie nie jest obojętnym, kto pierwszy zaczyna żniwo, od tego bowiem zależy pomyślność zbiorów. Jeżeli wieśniak sam jest zajęty, zastępuje go ktoś inny, który jednak również jest dobrym i poniekąd zamożnym człowiekiem, gdyż powinien posiadać swój chleb. Jeżeli niegodny zetnie pierwsze kłosa, podczas żniw zdarzy się nieszczęśliwy wypadek. Pierwsze ścięte kłosa ścina się i kładzie na krzyż; kilka z nich rzuca się w zboże, jako ofiarę „żytniej matce“. Jeżeli w pobliżu jest Boża-męka (krzyż), to i tam umieszcza się kilka kłosów, aby ukrzyżowany Jezus Chrystus użył żniwiarzom błogosławieństwa. Uroczyste ścięcie pierwszych kłosów ma być oznaką dobrych żniw w ogóle. Z tem łączą się pewne praktyki. Kosiarze przyczepiają sobie pierwsze kłosa do kapelusza i w ten sposób są uchronieni od boleści krzyża przy koszeniu. Wieśniak przechowuje kłosa w domu za lustrem, co mu daje szczęście przez cały rok w gospodarstwie.

Po uroczystem ścięciu pierwszych kłosów kosiarze ostrzą swoje kosy i zaczynają ciężką pracę. Przez długie dni dźwięczą kosy monotonnie w zbożu, aż nareszcie i ostatnie pole jest skończone. — Jak pierwsze, tak i ostatnie kłosa ścina się uroczyście. Kosiarze uwijają z nich bukiet i zanoszą gospodarzowi do domu, który wtenczas uracza ich piwem. Ten bukiet, tak zwany „krutka“, starannie przechowuje się w domu, jej ziarna miesza się z siewem, aby w ten sposób zapewnić ciągłość wegetacji zbożowej i pomyślne plony na rok następny.

Gdy już zboże jest skoszone, kobiety i dziewczęta z długimi grabiami udają się na pole, ażeby je związać.

Ubierają się starannie i czysto, a na ochronę przed promieniami słonecznymi kładą na głowę białe chustki. Wesolo i rażno postępuje praca: chłopci związane snopy ustawiają, i wielki wóz drabiasty zawozi je do stodoły. Pod koniec wiązania praca przeistacza się w prawdziwe wyścigi, gdyż żadna z dziewczyn nie chce związać ostatniej garści. Tę bowiem przeżywa się w północnej części Kaszub „bękörtem“. Wśród krzyków i wesołego śmiechu przystraja się tego „bękarta“ wiązanymi snopami zboża, przywiązuje liny słomane jako ramiona, a niekiedy nawet wkłada się na to wszystko bluzę i jaki stary kapelusz. Gdy już ostatni wóz zajężdża po resztę, zwykle zastaje tylko jeszcze ten wypchany „bękört“. Kładzie się go na wóz i uroczyście w towarzystwie wszystkich pracowników wozi się go po całej wiosce wśród krzyku, głośnych nawoływań i śmiechu. Przy ostatniej furze umieszcza się kij tak, że końcem dosięga sprzech koła, a gdy wóz rusza, robi się klekot. „Bękorta“ na wozie raz po raz oblewa się wodą lub nawet czem innym.

Następnie gospodarz gości wszystkich kosiarzy i pracowników piwem i wódką. W okolicach Kartuz ostatnie kłosa nazywa się „bęks“, koło Kościerzyny zaś „stôri“. W brodnickim i tucholskim powiecie nazywa się je „babami“ albo „dziadami“, w Poznańskim zaś i na Mazurach „pepkami“. Kto je zetnie, zrywa ostatni węzeł, łączący zboże z rodzącą ziemią. Ostatnie kłosa wiąże się w bukięt, który się „pepkiem“ zwie. Przodownik przyczepia je do końca kosy i zanoszą gospodarzowi do domu, kładąc wiązankę na stół. Na Mazowszu nazywają się ostatnie kłosa „przepiórką“, jako symbol przepiórki, która w polach się zatrzymuje. Przy koszeniu pól leci ona coraz dalej, a z chwilą ścięcia ostatniego pola — i ona musi je opuścić. Kosiarze tak się urządzą, że na końcu pola albo na jakim pagórku zostawiają trochę zboża. To pozostałe zboże dzieli się na trzy części, z każdej plecie się po jednym warkocz, które potem zawiązuje się razem przy kłosach. Pod tem sztywno stojącym sklepieniem kładzie się na ziemi gładki spory kamyk, wyobrażający stół, pokrywa go się kawałkiem białego płótna jakby obrusem, a na tym kładzie się kawałek chleba, grosz i sól. W owe słomiane warko-

cze i w kité kłosów na ich czubku utykają dziewczęta kwiaty i jarzębinę. Jedną z dziewczek rzuca się na ziemię i wśród śmiechu i krzyku ciągnie koło przepiórki. Tę przepiórkę zostawia się na polu dla ptaszków. Na Kaszubach coprawda ten zwyczaj nie jest znany, lecz lud opowiada taką legendę o przepiórce i chróście: „Przed żniwami pewien gospodarz pożyczył od swego sąsiada pięć korcy żyta. Gdy miał je zwrócić owemu gospodarzowi, twierdził, że pożyczył tylko trzy korce. Wtenczas zaskarżył go wierzyciel przed sądem, i obydwaj tak się kłócili, że nikt ich pogodzić nie umiał. Jeden mówił: „pjinc korzic“ — a drugi krzychał: „le trzë“, i kłócili się tak długo, aż się w ptaszki zamienili. Dzisiaj jeszcze żyją w zbożu i kłocą się przed żniwami. Jeden i drugi swoje ciągle wykrzykuje, i tak się kłócić będą do końca świata“.

Wymienione powyżej zwyczaje są bardzo dawne i wspólne całej Europie. Dokument z roku 1249 powiada, że dawni Prusowie musieli składać przysięgę legatowi papieskiemu, że nie będą składali ofiar pewnemu bózkowi, co praktykować mieli coroku po ukończeniu żniw. W Niemczech zostawia się ostatnie kłosy na polu dla żrebięcia bożka Wodan'a, w Skandynawji pozostawia się garść zboża dlatego, by Odyn miał czem paść swoje konie.

Tak więc pierwsze kłosy przynoszą szczęście i bogate żniwa, ostatni snop zboża jest symbolem płodności. Jeśli jest ciężki, to i plon przyszły będzie dobry i obfity. Ostatni snop oblewa się wodą, ażeby na następny rok było dostatecznie deszczu. Nadziewa się go kwiatami, ażeby na przyszły rok piękne kwiateczki cieszyły oczy ludzi.

Ostatnie zaś kłosy zostawia się na ofiarę dla starych, zapomnianych już bogów.

A. B u d z i s z (Puck).

Co doktorovji zdarzëc so móže.

Bël doktor, chtërën po svoji czamjali dnjovi prôcc z długjemi godzënami przëjimovanjô a kjilka navjedzenjöv przë dalek wod se mjeszkajacëch chorëch mëdëch a zmarachovani kole polnocë v pjerzënë a zoglôvkji so vmulszil. Buten bëczî a beczi, panivô a rivô richtich

vjodro lěstopadove. Toc njech wokjelujice a wokna trzese a pchnje a przez komjin gvjždźace a érlěkajace jachô, doktor mer wusnął a spji spjikem spravjedlěvých. V ten vprôvdze zaslěžoni spjik zvęzi a przenjiknje cęto a nôgle zvonjik elektręcni. Z rědim rukę spjaci do se przińdze. Sēmjenosc wodeckła przē změszlanju jakjého nôgle zachorzałého. V sztręchu vėjachô won głovą przez rozemkłe wokjenko a vołô:

— Co to ty?

A z gasě zavjısne mu do woczów spokojné pętanje z niszē dvjėrzovė:

— Co to kosztuje, panje doktoru, czėbesce do chorého vėjachalē v dregji vsi przē szaseji wodtądka chtěrna tak so mjilę drogji wod mjasta leži?

— Dwadzescą złotych! — krótkô wodpovjėdz doktora.

— Pojce vjic, proszám pana, natěchmjôst! — wodrzek głos przęglęszóni sztórmę z cemnjici.

Ten tak njespodzáo ze spjiku rvani rzucił nó sę te knap wostėdle ruchna a ten czężki kożęch, wobsznurovól so pasę skorzanim, szed v garôżę a motor samchodu w zôpęd spuscił a zakręcił. Won a svój nocni gosc sadną vzemanji a mjileczkę jadą v tę cėmną sztórmjistą plěszczę pizskovaną noc. Vnet zajachają do mōła przeznaczoného. Na cėch cėżého scigô doktor samchód. Cėzi vėložô a kładze dvadzescozłotóvkę papjorovę v rękę doktora.

— A dze chori leži?

— Leži v bezpjeku vėgodnim. Panje doktoru, chorého tu njima. Jô so do Vas wudól, kjej jô v tak pozni godzėnje a v tim strasznim plėgusu żodną fórmankę zlapac njimóg a so nje częł dońc tu dotądka. Bóg zapłac! Dobranoc! Przęprôszám, panje doktoru!

Rzek a zgjinął v cemnjice.

A. B u d z i s z (Puck).

Z kaplji pod seek.

Kjej vojna bolszevjickô vėbuchła, nje trafjilo le blós wodvoźněch sėnów tatecznē chtěrněch do służbě vojennich so povołalo, ale tēz vjerněch przējacelów a towarzęszów lėdzkjich, konji a psów, do wustługów a cėlów vojsko-

vjich bělo veigani. Paŋ Szlamécěr, žedovskji vlókŋjik, posódól v Galiciji wobszerni dvór, chtěren won zapomocą polskjich parobkóv a dachlonjikóv wogospodarzil a wobrobjil, bo charłezenje dětkóv běla jeho nôvjikszo wucecha. Jeho wokraglô zdrovô injôzdra czerzvjenja so przě tim komeńdировanjim wod jemnosćě a jeho szvamjistô tvórz wozěvjila so a jeho czôrne wėsadzone, wokreglěchne woczě leszczalě wod przedrżwovanoscě. Żenjali paŋ Szlamécěr dotěchezôs njeběł, bo lepszo połownjeca pokoza tą go mocno wodstrószającą belnotą a przěnetą chłopską połowę mnjé abo wjicé pod pantofel dostac. Hěnrěn won swojim wuczěcam szturchańca dół, ale so czěl za młodi jirżmo mólžeńskji nó sę brac. Won téz swoje sambětnosc nade vszětko mjilowól, a ju z młodu zacwjerdził swoje serce procēm vszého powóbu pjekného glóvja. Tereskę ale běla nastanô vojna, a ta go baržé wujirzmjila jak nókasnjesze babsko bě wuczěnjic mogło, chocaž won sam, kjej běł wēsok v pjincdesatkach, frijni wod službě wojskowi wostól.

V jeho stanji stajałě lěczné mocné stóré polné a téz kuczerskjé konje. Tereskę mjałě te hevě vszětkjé, ne heně jile możnosć zbedné vrěknąc, le jedna jedinô szaruga, chtěrna v érach zestarzałó běla a ju tak swoje dwadzesca lat na puklu mja, běla wuznanô za njezdatną a mja przinósdocę jeho karétę do mjasta vlęc. Ale pravje wo tę měrę paŋ Szlamécěr njic njedból. Won bě ja ród lós běł za kozłi priz a pôrę krónóv austerejackich zagarnał.

Czerzviono-złocěste slóńce weszło. Ksztólł bě rostłé drogje kamjenje a perlě na drzewach tak leszczalě, blósknę a flēmrota na njich jasnô rosa renô. Rozemkla so stanjô paŋa Szlamécěra a won sam wróz ze swojim kuczrę zabjěról so samjistnje konje do sztacejónu wodlifrowanjô wodległého pôrę mjili zaprowadzěc. Vszětkjim mjinjajim go, chtěrnim karno konji wobdzěwovalě, podpôd „czôrni“, przě chtěrnim paŋ Szlamécěr sam szed czěsto buszni.

— Spanjali czôrni — rzek jeden.

— Pěszni szěmel morzěchowati — wodezwól so dręgji.

— Szkoda, że takji fiń kón wojnje do wofjarę padnać musi — krziczól trzeci.

Paŋ Szlamécěr každy razą: tak, tak — przěcwěrdzěl.

Nôgle njebo, dotêchezôs modro so wusmjêchajace, mrêczni blôsk veignêlo. Cemjica szarô nasto, a groźace chmurê kulałë a volalë so pod podnubjê. Sarkowo-žółté dôłkji sênglë so mjidzë njé. Grozno cêsnelë wone z gorów a napôlnjilë vszêtkjé dolênë a vadołë. V szôlonim jivrze nêkôł paŋ Szlamcêr konje forvac, bo ju mjasto kjivalo. Doch dorazu sucérka stružkama rzëza. Ale tere so dzejalo dëcht co wosoblëvého. Paŋ Szlamcêr rozemk sztolëmovi dak deszczowi, a trzimôł njen wostroźnje a żorgalnje nad „czôrnim“, njijak nje achtnãce, że mu samemu voda z ruchnów zcekô. Doch „czôrni“ przemjenjil so procëm vszêtkji wovôdze ražace. Til, na chtëren szorm nje sigôł, dostôł bjôłavé plové płachcë a plegjë a nôgle z njeho kjipjala njibë czôrnô tinta, a wonji ju bëlë v sztrôsach mjasta. Junkrovje zapjarlë so a podzëvovalë to dzëvôczne zdarzenie. Njespodzané chlastnjenje vjatra vërvalo paŋu Szlamcëru, jak won so barzé wo konja starôł, szorm, a nje varalo dlugo, wonji pozdrzatk mjenjile. Koŋ stôł so plovobjôlim morëse, a paŋ czôrno-plachrovatim smoliúce. Gasovi junkrovje a binglôse krzikalë do bezpłótného przedstôvjenjô, zdjimalë czôpkji a muce a klôskalë v rëce. Vnédze rozeszlë so paŋ z kuczrë, ten nêkôł te „povôłané“ a „gvësné v szladze“ kuczerskje konje do môla zbjérného, nen z kolanóma wod strachu chvjejacema wucëk v karczmë, dze v goseńcu apartni chlev bël. Co so tã dzalo, je tajmica, le tãli, wusknëcht cali czôs vëborków vodë do „czôrného“ vlék.

Dregjého duja vanožël paŋ Szlamcêr ze stôrã, plëgavo-plovã szurã do domového wognjszeza, njicht nje poznôł vezorajszého szlachetného „czôrného“. Paŋ przëszed z deszczu pod kaplë, bo kjejno jesziszta mjidze lëdzi bëła vëszlô, sztrôfa go nje mjinje. Ale též bjédné kônczë przëszlo z deszczu pod kaplë, bo pôrë duji po tím harapje rakôrz je halôł.

Jan Patock.

Bóg zapłac.

Povjôstka.

Do jednévo zamožnévo szlachcëca na Kaszëbach przëszed stôri ë wobdzarti dżôd z dlugã brodã proszãc wo

jalmużną. Szlachećcovji wurodził so sin, běł v dobrim humorze ě chcōł strĕchovji calevo marka dac, abĕ so wucszil. Signał v taszę, womilil so ě dōł džadovji calevo talara. Strĕch skłōnijil so głĕboko ě rzek trzĕ razĕ:

— Paņ Bóg zapłac! Paņ Bóg zapłac! Paņ Bóg zapłac!
— ě poszed dali.

Pomerkovōł vnet szlacheć, że so womilil, ě zamjast marka strĕchovji talara dōł. Kōzōł parobkovji džada zavolac ě rzek:

— Stōri, dōł jō tobje przez womilkę talara, daj vo nazōd, dostanjesz marka.

Stōri rzek na to:

— Dobrze, jō vrōcę talara, cze vjelmożni paņ mje moje trzĕrazovĕ „Paņ Bóg zapłac“ vrōci.

Paņ zabrzcęzōł.

— Czĕ tĕ stōri wobarehnjōł? Co to je tvoje „Bóg zaplac!“ Mogę to trzĕ razĕ povjedzec ě to njic, to jak vjater!

Dzōd na to rzek:

— To paņ vjelmożni mōże mje to „Bóg zapłac“ trzĕ raze napjisać. Jō veznę kōrtkę ě woddam talara.

Szlacheć vzał sztĕczk papjora ě napjisōł trzĕ raze „Paņ Bóg zaplac“. Kōrtkji jesz džadovji nje dōł, le rozmjōł so ě rzek:

— Poczekōj, vĕszōku stōri, bądę tvoje „Bóg zaplac“ vazĕc. Wobĕczimĕ, co je cĕższĕ, talōr czĕ tvoje „Bóg zaplac!“

Ĕ položil talōr ě kōrtkę na vōgę, chtĕrna przed njim na stole do pjisanjō stojala. Alĕ szōla z kōrtką spadla ě talōr szed do gōrĕ, nji móg kavałka papjora rĕszĕc. Doložil szlacheć drĕgjĕvo talara, ale vōga ĕnji rusz. Vzał trzecĕvo talara ě vložil na vōgę. Terez so szōlka z kōrtką ponjosla, nastąpjila rōvnovōga.

Szlacheć so zavstĕdzĕł ě wogromnje zamĕslĕł. Na kōncu rzek do džada:

— Starĕszku, vezce tĕ trzĕ talarĕ ě jidzec z Bogę! Jō zachovjĕ kōrtkę, bądę na nje zdrzōł jak živ, jak vjele vōži ě vōrt je džadovskjĕ „Paņ Bóg zaplac!“



Guczów Mack gôdô:

Vjitôjtaz! Chcemë le so zažec! Vjéta va lédze grzészni, że z ni wo-
zańkji moji njick nje mdze? Bo zem so do tëch czôs anji na targach, anji na
wodpustach, anji v Varszavje, anji navetka na svj. Jana przë sobotce njižôdnë
njevëzdrzôł, to na zemë i gves nji. Stôri lédze gôdajã, że:

„Na starosc ženjenjé, a na zemë lepjenjé — to jedno“.

A že mam ju në mërë szterdzestkë na krzepce, chcôł jem ju njechac
ten błęgi stãn kavalerskji v tim roku. Ale jak jô vjidzë ë na 10 pôlcach so
to mogë wobrechowac, nje je to tak letko së dobrze woženic tema czôsni,
jakkë szklënkë bëlného pjiva teru wob lato so pod nos włóc.

To je poprôvdze calo komedjô: Ta, co mô dëtkji — mje nje chce,
a ti, co nji mô detkôv — jô nje chcë; to znaczi: że të, co mô dëtkji — jô
mam, a ti, co njimô detkov — jô nji mam; albo: ta, co nji mô detkôv — mje
mô, a ta, co mô dëtkji — mje nji mô.

Z teho vënjikô, że z ženjaczkji moji njima njick. Je to prôvdac grëdi
rechunk, jak paraluž, chtërného człowjek zvéczajno svónskjé robotë njijak nje
vërechuje, bo mu së to vszëtko v lepje pojnjëszo na sam filaks. Ale jô vama
to ju choc przedstavjë, jak takji rechunk so dô verechovac. Stechôjtale!
Pjerszim varenkë, je to, že do žeñbë muszã bec dvoje. To znaczi, že anji
jeden, anji jedna so nji mogã woženic, le jeden z jednã, abo won z wonã
(a czemuž va tej tak głupje gôdôta: won së woženjił, abo wonã së woženjiła?)

Dregjim varenkë je to, že chcãc së woženic z chtërnã, to woženji së
dobrze, ale njigde nji lëcho. To znaczi, że mozesz bec bjédni choc decht tak
jak koscelno mész, a bjałka tvoja též, le co zacht pjenjedzi bédze mja. Baro
dobrze je w takjich razach postëchac mądrcëh słów gvësného poetë nje-
mjeckjého, co tak vôtô do całého kavalerskjého svjata:

„Njehže kozdi wo tim vjé, njehže kozdi zuó,

Chto na vjekji chce së vjëzac,

Bë do karku nje przëvjëzac

Babska, co njast tësãc zlotëch — tësãc torfu mô!“

Trzecim ë wostatnim varenkë je to, že chcãc takã bjałkë dostać, muszi
wona bëc głëpszã wod ce. Terusku le zvažeta! Że dziseszim dnjë vszëtccë,
co majã pienjãdze (choc njerôz głupji jak pëk słomë!) sã mądrcëzi njizle nõ-
vjiksi mądrcëza bez pjenjedzi, vjie takjé, na jakã jô zgrôvam, njijak dzivô na

svjece njima A kiejbem szukôł te, cze njijak na svjece njima, bëłbëm gvës glëpszi wod te, co sądzi, że ten rechunk jesz nje je vërechovani. Chcëmë le so zażëc! A tej so przeczëtôjta te novosce z Kaszëb:

— **Łënjô.** Vjelgji njeszczescë. Jak „Kurjer Lińskji“ Ìze, szlachita kętrzińskô szła z gburami lińskjimi na mjankji ve žniva. Wobje vse prôcovatë przez trzë dni wod porénku do cemnëho vjeczora, zôs czvörtëho dnja kole pôlnja, że sę na grzëmot zbjeratë, szlachita dobivô vszëtkjih sël tak, że bodôj sëdmënôsce szlachtë kętrzińskjë sę vëpekło

— **Skorzevo.** Žëvcę spôloni. Ze Skorzeva (sprzëti Koscërnë) przëszła vjêdzô, że polac sobotkë, zanjëcëlë wogjin na njedalekë rznije, pravje na tim môlu, dze wutaconi jeden sedzôł, chtëren sę žëvcę spôlił. Spôlonëho njeboszczëka nalezëlë gburzë skorzevskji nôprzôd trzëcëho dnja, le poznelë v njim wodrazu, że to bëł — kãtôr.

— **Borzestovo.** Borzestovjôcë razę z kurczëtami, vedle scistëho wobrechunku stôrëho Kopónkji z Vjigodë, mijelë bodôj v przede žnjivjim jaz sëtmëdzesat centnarov krëp zjesc. (Czë to je možlëvota? — przëp. G. Macka).

Z Kaszub i o Kaszubach.

— **Muzeum regionalne w Chojnicach.** Dnia 5-go sierpnia rb. odbyło się w Chojnicach uroczyste otwarcie muzeum regionalnego, utworzonego z małych zaczątków z inicjatywy i gorącej pracy kilku jednostek pod kierownictwem p. Rydzkowskiego. Zgromadzono już w muzeum szereg cennych eksponatów, szczególnie z przeszłości miasta, a uwzględniono też kaszubską kulturę ludową. Nadto jeden z obywateli ofiarował na ten cel piękny i wygodny lokal.

Pisaliśmy już o muzeum tucholskiem, niedawno zaś o muzeum świeckiem, życząc miastu naśladowców. Życzenie nasze spełniło się prędzej, niż przypuszczaliśmy.

Czekamy dalszej pracy w tym kierunku, a przedewszystkiem wytężonej pracy nad utworzeniem nowego muzeum kaszubskiego, koniecznego z powodu nieszczęsnego spłonięcia muzeum wdzydzkiego.

— **O Kaszubach zapomniano.** Salon Malarzy Polskich w Krakowie wydał serje 192 barwnych kart pocztowych z 12 różnemi typami ludowem w swojskiej strojach całej Polski. Typu kaszubskiego jednak tam nie znajdziesz. Dlaczego? Kto temu winien? Czy malarze polscy nie znają Kaszubów?

Nakładem Spółdz. Wydawniczej z o. p. „Gryf“ Kartuzy, Wzgórze Wolności 5a.
Komitet redakcyjny: Dr. Aleksander Majkowski w Kartuzach, dr. Władysław Pniewski w Gdańsku, ul. Am weissen Turm 1, Stanisław Brzęczkowski w Gdańsku, ul. Olivaer Tor 3-4.

Za redakcję odpowiesz.: Stanisław Brzęczkowski w Gdańsku, ul. Olivaer Tor 3-4.
Przedpłata wynosi rocznie 3.50 zł. — półrocznie 2 zł. — kwartalnie 1 zł. — pojedynczy numer 35 groszy.

Cena ogłoszeń: cała strona 120 zł. 1/2 str. 60 zł., 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł.
Konto P. K. O. 200431.

Ogłaszajcie się w „Gryfie Kaszubskim“, znanym w każdej chacie pomorskiej

Czcionkami drukarni „Gazety Kartuskiej“ w Kartuzach.



P. 236